

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 7 STYCZNIA 1928 ROKU

NR 2

TREŚĆ NUMERU: Usta, którym trzeba dać głos — *Natalja Jastrzębska*. Kobiety wobec wyborów do Sejmu — *Dr. Herminja Naglerowa*. Wiersze: „Pielgrzymi”, „Wieś”, „Róże” — *Tadeusz Zajaczkowski*. Dziewczyna z zimorodkiem — *Ewa Szelburg*. Jemioła (c. d.) — *Hanna Skałbeł*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Impresje kościelne — *Zygmunt Knothé*. Z życia muzycznego — *P. L.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Psychologia mody — *Dr. Stefanja Zahorska*. Kto powinien płacić — *N. J.* Cośniesz o narciarstwie — *L. R.* „Vici” — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: *Sortie de bal* — *Well*. Chustka z crêpe de chine'u ozdobiona szydełkiem. Dodatek powieściowy: „Tragiczny związek” — *Daisy di Carpenetto* — tłumaczyła z włoskiego *Jadwiga B. Salgówska*. Arkusz wzorów.

## USTA, KTÓRYM TRZEBA DAĆ GŁOS

Dostałam dziwnie smutny list.

Wypowiadając w „Bluszczu” swą opinię w sprawie obawy kobiet przed odpowiedzialnością, narzekając na ich brak „odwagi swych czynów,” byłam przygotowana na replikę, ach — powiem prawdę, — nawet na pewnego rodzaju irytację, zarzuty stronności sądu, odparcie moich argumentów różnemi teoretycznemi kontrargumentami — jednym słowem na — polemikę... słów.

Niestety, odpowiedziano mi polemiką... faktów! Pozwolę sobie przytoczyć ją dosłownie:

„Wr. 1919,” pisze p. O. K., „ukończyłam seminarjum nauczycielskie i otrzymałam posadę nauczycielki na Podlasiu. Wieś jest duża, lud inteligentny, szkoła 2 klasowa. Objęłam w niej posadę kierowniczkę. Aby sprostać zadaniu, które spadło na mnie, 20-letnią, niedoświadczoną dziewczynę, całe wakacje, wszystek czas wolny poświęcałam dokształcaniu się, kursom nauczycielskim w Warszawie, Krakowie, Wejherowie.

„Zdałam egzamin kwalifikacyjny. Pomimo zupełnego braku wskazówek, zorganizowałam, — poza pracą obowiązkową w szkole, — kursy dla dorosłych, kółka samokształcenia dla młodzieży, przedstawienia, odczyty, przygotowanie zdolniejszych moich uczniów do 3-ej i 4-ej klasy gimnazjum, słowem — pracowałam, jak umiałam, byle tylko być pożyteczną.

„Tak trwało lat sześć przeszło. Nagle, w roku zeszłym dostałam zawiadomienie urzędowe, że mam oddać kierownictwo... koledze — p. G.

„Muszę zaznaczyć, że na pewien czas przedtem, gdy prosiłam swego inspektora o przeniesienie mnie do miasta, odpowiedział, że zgodzi się, o ile dam na swoje miejsce następcę, któryby mi dorównał! Opinię więc miałam chyba u władz nienajgorszą.

„Gdyby na moje miejsce naznaczono kogoś wyżej wykwalifikowanego, czy doświadczonego, lub zasłużeńszego — nie miałabym żadnej pretensji; ale kolega, na rzecz którego mnie zdegradowano, miał dwa lata praktyki, jako nauczyciel i tak mało niezbędnych wiadomości, że inspektor polecił mi uczyć go i objaśniać.

„Co należało mi zrobić? Dwa razy jeździłam do inspektoratu — (na rowerze, 52 kilometry w obie strony). Nie zastałam inspektora. Na listy nie otrzymałam odpowiedzi, a ustnie słyszałam od zastępcy inspektora rzeczy przedziwne: — że mężczyźni mają pierwszeństwo — gdyż... kierowniczkę nie chcą wychodzić z zamą! I tym podobne argumenty! Oddałam swoją sprawę do „Ogniska,” ale do dziś dnia stoi w miejscu i pewno tak zostanie! Proszę sobie wyobrazić moje stanowisko na wsi, wobec rodziców i dzieci! Oto zapłata za 7 lat pracy, zapłać w młodości. Dziś czuję się starą i nikomu niepotrzebną;

w pracy społecznej nie mam już sił brać udziału. Powie pani: „złe“—zgodzę się; ale gdy ptakowi spala skrzydła—zostaje ziemia, pył i... błoto.“

Tyle nasza korespondentka. A teraz odpowiedzmy szczerze:

Kto nam buduje Polskę—mądrą, uczciwą i silną?

Kto zakłada pierwsze podwaliny wiedzy, etyki, zrozumienia ustroju swojej ziemi, jej historii, oblicza, praw i bogactw?

Kto kładzie ten pierwszy fundament, który, niewielki rozmiarem, jakże powinien być pewny, prawdziwy i niewzruszenie mocny, a do głębi serca i pojęć wkorzeniony?!

Fundament, na którym oprze się w masie szerokiej skromny domek robotnika, rzemieślnika, włościanina, zarówno jak gmach wiedzy uczonego, nieustraszony żywot żołnierza, lub genjusz artysty?

Wszystkim im zasady wiary, zawiązki teorii społecznych, historję ojczyzny, pierwsze podstawy nauki wpaja nauczyciel.

I na tem właśnie polu pewne czynniki zaczynają usuwać i traktować po macoszemu kobietę.

Kobietę, która właśnie z racji swego instynktu macierzyńskiego, wrodzonej miłości dzieci—specjalnie jest do pracy w szkolnictwie początkowem uzdolniona.

Kobietę, która przez długie lata niewoli na tym wybitnie odznaczyła się posterunku.

Które z działaczek polskich, i tych, co odeszły, jak ś. p. Jadwiga Sikorska, i tych licznych — żyjących—nie miała „na sumieniu“ tajnej szkoły?

Uczyły wszystkie — na wsi i w mieście, bogate „panienki“ ze dworu i żyjące z pracy nauczycielki, po 10, lub 12 godzinach lekcyj dla chleba dodające sobie bezpłatne godziny „kompletów“, często w suterynie, lub na poddaszu. Uczyły wszystkie, bez różnicy stanowiska i przekonań: — zadomowione, konserwatywne niewiasty i głośne, postępowe, równoprawnione demokratki.

A wszystkie były ciągle pod grozą śledztwa, więzienia, zesłania.

A gdy Polska powstała, nie założyły rąk.

Stały znów do pracy ochoczo, pełne zapału, szczęśliwe, że w jasnym świetle nowego dnia będą pracowały.

Położenie zmieniło się zasadniczo moralnie. Ale nie stało się wcale odrazu łatwe i ponętne. Stosunki wojenne i powojenne, zwłaszcza na kresach, zaniedbana kultura wsi, fatalne warunki komunikacji, cięż-

ka sytuacja materialna kraju—dały się specjalnie odczuć w szkolnictwie, szczególnie wiejskiem.

Każdy, kto zna trochę te stosunki, wie, ile razy przybywająca do wsi nauczycielka nie ma mieszkania, mieścić się musi często w zimnej, ogołoconej izbie, wypraszać od włościan drzewo na opał, jeździć po kilkadziesiąt kilometrów w mroz na wózku, też wyproszonym, do miasta w sprawach szkoły, lub po pensję — a pensyjka to skromniutka — ledwie starczy na utrzymanie.

A w tych ciężkich, prymitywnych warunkach wymaga się od niej kwalifikacyj, ciągłego rozwoju, śledzenia za postępem wiedzy, zużytkowywania wykazy na kursy doksztalcające, więcej — rozwijania działalności kulturalnej, pracy społecznej!

A ona godzi się na to wszystko i pracuje, kładzie w pracę zapał, radość wolności i miłość młodego pokolenia!

Ale wtedy, gdy dający te wartości mężczyzna może być pewny i spokojny o swoje stanowisko — kobieta tej pewności nie posiada.

Bo wypadek pani O. K. nie jest odosobniony. Nurtuje w szkolnictwie strumyczek niechęci do kobiet. O! — bardzo niejasno stawiany, osłonięty, ukryty — niemniej istnieje. I to zarówno w szkolnictwie powszechnem, jak w średnim, jak przy egzaminach w uniwersytecie — coś jest.

Że tak jest, bardzo to smutne — ale jaka tego przyczyna?

Niestety — może jestem uparta w swoim przekonaniu — muszę jednak stwierdzić, że to — o czem poprzednio pisałam: — brak zaufania we własne siły, brak u ogółu kobiet mocnego stanięcia na platformie własnej odpowiedzialności, brak siły do walki o to stanowisko, upomnienia się swoje prawa, dochodzenia swej krzywdy.

Za tę słabość i niewyrobień, za to usuwanie się w cień, unikanie odpowiedzialnych stanowisk, niechęć do wysunięcia się na plan pierwszy, za łatwe zniechęcenie, pesymizm i niepewność, — za te błędy ogółu — pokutują potem liczne jednostki, nawet takie, które same tych wad nie mają,—są jednak częścią tego ogółu kobiet, które nie wyrobiły sobie takiej opinii, aby się z nimi... liczone.

Smutne, ale prawdziwe.

A jaka na to rada?

Przedewszystkiem, te właśnie jednostki winny stawać twardo i walczyć o swoje prawa, i nie dać się losowi. Wierzę, że pani K. jest przykro — nie wierzę,

aby zniechęcenie jej było nieuleczalne. Dwadzieścia siedm lat—to pełnia sił i życia! Los się odmieni — trzeba mu tylko siłą i odwagą dopomóc!

Moralnie musi Pani przypomnieć sobie cudną maksymę Wołodyjowskiego — „Tobie, ojczyzno!” Praca Pani nie poszła na marne — ziarno jej zostało i zejdzie w sercach dzieci przez Panią uczonych, młodzieży rozwijanej, rodziców, którzy na Jej wysiłki patrzyli i uczyli się z dziećmi wspólnie, w rozszerzonej przez Panią kulturze tej wioski — w owocach siedmioletniej pracy — „Tobie, ojczyzno!”

A rzeczowo — materialnie — nie opuścić rąk, nie dać się — dochodzić swoich praw!

Ale tu powinni pomóc wszyscy.

Niech te kobiety, które wiedzą i dowiedzą się o położeniu pani K., staną w jej obronie. Matki dzieci, które uczyła, koleżanki w okręgu i stowarzyszeniu,

kobiety — na stanowiskach w odpowiednich działach ministerstwa oświaty, (są tam przecież znane i zasłużone działaczki w sprawie równouprawnienia), pracownice społeczne i polityczne, kandydatki na posłanki.

Wszystkie one we wszystkich takich wypadkach powinny uważać za swój najpierwszy obowiązek stanąć po stronie kobiety, poprzeć ją i obronić.

Przedstawiciele władz są przecież tylko ludźmi w kraju konstytucyjnym — wykonawcami woli społecznej.

Trzeba ich o tej woli poinformować, opieszalych pobudzić, na niechętnych wywrzeć nacisk — opinii ogółu.

Jeśli tak postawimy naszą sprawę — to sprawa nasza zwycięży.

„Kobiecie-obywatelce równe prawa“!

Natalja Jastrzębska.



DR. HERMINJA NAGLEROWA

## KOBIETY WOBEC WYBORÓW DO SEJMU

Ogłoszenie terminu wyborów do Sejmu musiało z natury rzeczy wywołać wzmożony ruch partyjny. Bezwątpienia pójdą przygotowania w tym kierunku, by nowy Sejm posiadał zdrowsze warunki pracy i wyraźniejszą fizjonomję.

Nie mamy jednak zamiaru zabierać głosu w kwestiach takiego, czy innego politycznego składu przyszłej Izby Ustawodawczej. Zresztą Sejm powinien być odpowiednikiem opinii społeczeństwa, i parlamentaryzm zdąży w teorii do takiego właśnie celu. Przyczyny, powodujące w rezultacie rozbieżności między wyborcami, a posłami, tkwią w grze politycznej, która niemal całkowicie absorbuje posła i w okresie trwania mandatów wywołuje owe skomplikowane konfiguracje grup i frakcyj — obce wyborcom, a często nawet sprzeczne z ich intencjami.

Przygotowania przedwyborcze będą więc i tym razem niejako rewją sił. Programy stronnictw będą usiłowały przemówić bezpośrednio do szerokich i najszerszych mas.

Lecz nie ludźmy się: — programy przekraczają zazwyczaj możliwość realizacji. Są przesadne, bo zadaniem ich jest agitacja. Stronnictwa kierują się co najwyżej dobrą wolą, ale i to nie zawsze.

Pesymizm niniejszych wynurzeń ma bezwątpienia swoje uzasadnienie w doświadczeniach z lat ostatnich. Nasz młody parlamentaryzm nie zasłużył bowiem na zbytne zaufanie społeczeństwa. Zapewne, znaczną część winy ponosimy także i my — wyborcy. Bo, mimo iż jesteśmy „rozpolitykowani“, nie zdajemy sobie właściwie sprawy z wewnętrznej treści, mieszczącej się w ustroju parlamentarno - demokratycznym. Ustrój ten powinien być najlepiej przystosowany do ewolucyjności życiowych zagadnień. Każdy dzień przynosi przecież nowe, niezbędne poprawki we wszystkich dziedzinach naszego życia. Pojęcia przekształcają się, wiecznie płyną — jak powiedział filozof. Trzeba więc, aby ci, którzy tym pojęciom bodaj na pewien czasokres dają określony kształt, byli naprawdę wykładnikami naszych istotnych dążeń i naszych żywotnych postulatów. Trzeba, żeby stosunek mandatarjuszów naszych do nas, jako do pełnych zaufania wyborców, był możliwie szczery.

Chodzi mi tu, rzecz prosta o stosunek stronnictw do sprawy kobiecej; niestety, bowiem, „sprawa kobieca“ jest zawsze jeszcze w sobie zamkniętym, bodaj że wyodrębnionym kompleksem zagadnień, które, w dzisiejszych warunkach, nie mogą i nie powinny

ulec rozdrobnieniu i być tylko fragmentarycznie rozmieszczone w programach tej, czy owej partji politycznej. Wolałybyśmy, oczywiście, żeby kwestja kobieca,—jako stan walki—nie istniała, ale, dopóki trzeba walczyć i wywalczać, powinna sprawa kobieca być traktowana jednolicie i w całości, a nie, jak dotąd, rozkawałkowany i dopasowywana do poszczególnych widzimisiów partyjno-politycznych.

Kto wie, czy wobec takiego, dla sprawy kobiecej szkodliwego stanu rzeczy, nie byłoby wskazane, żeby kobiety wszystkich obozów stworzyły blok i wystąpiły z własnym programem społeczno-gospodarczym? Lękam się jednak, czy takie odciążenie mas kobiecych od zagadnień politycznych nie byłoby pewnego rodzaju ścieśnieniem zakresu zainteresowań kobiet. Niemniej też mogłaby grozić ewentualność rozprószenia się głosów kobiecych. Ponadto, mimo pewnej jednomyślności, jaka cechuje dążenia dzisiejszego społeczeństwa kobiecego, nie jesteśmy dostatecznie zorganizowane, aby móc najszerze masy kobiet pozyskać dla listy wyborczej, wyłącznie kobiecej.

Zdaję sobie dokładnie sprawę z trudności i bodajże niewykonalności takiego zblokowania — przynajmniej w tej chwili — i dlatego porzucam czerpedziej, acz z prawdziwym żalem, ten projekt.

Tak, jak obecnie sprawy stoją, mają kobiety-wyborczynie ważne przed sobą zadania. Muszą się domagać: 1) aby całokształt społecznych zagadnień kobiet wszedł do programu każdego stronnictwa, 2) aby w komitetach wyborczych współdziałał kobiet był liczny, 3) aby na listach wyborczych kobiety były dostatecznie reprezentowane i otrzymały korzystne lokaty.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że równouprawnienie kobiet jest dotąd tylko fikcją i zostanie nią tak długo, dopóki będziemy zdane na łaskawe słówka i przyrzeczenia, już a priori nie brane na serjo. Miałam niejednokrotnie sposobność mówić z posłami stronnictw lewicowych, centrowych i prawicowych właśnie na temat „nieszczęśliwego“ równouprawnienia i stwierdzam, że w tej kwestji wszyscy moi rozmówcy byli zgodni—jak jeden mąż. To znaczy, że ci z lewicy, i ci z prawicy sprawą tą nie zajmują się zupełnie, interesują się nią bardzo pobieżnie, traktują ją indywidualnie, lecz niemal zawsze bez zyczliwości.

Trudno, nie będziemy z tego powodu rozpaczać! Musimy jednak wiedzieć, że jesteśmy zostawione same sobie i same powinnyśmy wywalczyć wykonanie ustaw, których brzmienie jest przecież niedwuznaczne. Chcemy więc, aby na 444 posłów do Sejmu przynajmniej czwarta część mandatów przypadła kobietom. Nie jest to tak paradoksalne, skoro 53% wyborców—to kobiety.

Jeżeli przytem zważymy, że kobiety mają dużo uzdolnień w dziedzinie społecznej, że ich stosunek do wielu zagadnień socjalnych, gospodarczych, oświa-

towych, jest bardziej bezpośredni i nie oparty na tradycyjnym szablonie—zrozumiemy, ile walorów wniosą kobiety do Izby Ustawodawczej.

Nie należy ukrywać swoich intencji i dlatego mówimy wprost: Chcemy nasze sprawy oddać w ręce kobiet, gdyż nie ulega chyba wątpliwości, że sprawą kobiecą najlepiej i najrozumniej zaopiekować się może kobieta.

W tej chwili, gdy gorączka przedwyborcza wzmaga się z dnia na dzień, gdy każde stronnictwo hojnie szafuje obietnicami, — leaderzy przeróżnych partyj malują nam różane brzaski na dalekim horyzoncie. Mamy więc wielu konkurentów i wielu fachowych uwodzicieli, ale bądźmy praktyczne i wyrachowane: żądajmy — intercyzy.

Niewątpliwie należy się kobiecie polskiej pochwała za to, że dotychczas nie chciała w rozgardzajsz polityczny wnosić swoich, choćby najważniejszych i najsłuszniejszych postulatów. Może, zresztą, unosiła również temperament polityczny i w ferworze walk partyjnych zapomniała o sprawie bliskiej, niemal osobistej. Dziś jednak nadeszła już chwila, aby zrozumieć, że owe polityczne boje były i mało warte, i w znacznej mierze nierealne. Doprawdy, szkoda było naszego—kobiet—wysiłku! Ale nie o tem chcę mówić i dlatego też nie będę uzasadniać mojego stosunku do tej sprawy.

W marcu mają się odbyć wybory do Sejmu i Senatu. Jest przed nami parę miesięcy prac i zabiegów przedwyborczych. Trzeba działać rozumnie, energicznie, celowo. Na wiecach, zebraniach, konwentykach, konferencjach i wszędzie tam, gdzie partje będą się zwracać do nas z apelem, ze starym, dobrze brzmiącym frazesem o kobiecie Polce, obywatelce, towarzysze—żądajmy miejsc dla naszych przedstawicieli w komitetach, w Sejmie, w Senacie.

Posiadamy przecież nietylko prawo wyborcze czynne, ale i bierne, i doprawdy trzeba, abyśmy same uwierzyły w bezwzględna konieczność przedwyborczych wskazań, które pokrótce ujęłam w tym artykule.

Tyle razy mówi się i pisze, pisze i mówi o tych krzywdach, niesprawiedliwościach, o upartem trwaniu przy dawnych przesądach, o jawnem łamaniu przyznanych już praw. Teraz jest odpowiedni moment na przeciwdziałanie temu, co było piętnowane tylko mniej lub więcej energicznym protestem słownym.

Dla dodania otuchy tym, które się jeszcze wahają, powtarzam:

Mamy pełną świadomość naszych wartości ludzkich, społecznych, obywatelskich.

W żadnej pracy państwowotwórczej nie będziemy laikami.

Olbrzymie zastępy kobiet są przygotowane i gotowe do służby dla ojczyzny.

T A D E U S Z Z A J Ą C Z K O W S K I

## PIELGRZYMI

<p>Strudzeni, snem głębokim          Śpiemy — pielgrzymi biedni.          Któż nam przed Bożym tronem          litości trochę wyjedna?          Dałaś mi, dałaś, matko,          do sakwy mej podróżnej          swoje mi serce dałaś,          żebym nie żebrał jałmużny.          Ale, że szło nas tyłu,          a każdy taki łaknący,</p>	<p>rozdałem, rozdałem dawno          serce twe miłujące.          Rozdałem i twoje serce          i mego miłość całą          i oto stoję trwożny:          już nic nie pozostało.          Nic niema już. A jeszcze          i nas i drogi tyle...          Będziemy się modlili:          Bóg może nas posili.</p>
---	--

## W I E Ś

Wieczory są jak skrzypce — łagodne i ciche —  
 pachną jak rękawiczki i suknie kobiece.  
 Gdy zachodzące słońce przesyje mnie sztychem  
 smutku, na wschód, na stępy, jak zórawie lecę.  
 Budzę ptaki i rosy strząsam o przedświcie,  
 Brodzę, jak w rześkiej fali, w bujnej, gęstej trawie  
 Lecz pierwsze już latarnie — o życie! o życie!  
 przemocą mnie przywożą i więżą w Warszawie.  
 Błąkam się po ulicach. Napotkanych kobiet  
 spojrzenia łowię, niżę na myśl, jak na nitkę  
 i chowam w najtajniejszą serca mego skrytkę,  
 żeby oddać je Bogu za słowo o tobie.

## R Ó Ż E

PAMIĘCI ALEKSANDRA BŁOKA

Ani na grobie moim kwitnąć będą,  
 ani je — białe — brałem w dzień zaślubin.  
 Inne wspomnienia srebrzystą legendą  
 noc, otrząsając siny płaszcz, pogubi.  
 I, zresztą, zawsze będą dla mnie mitem,  
 bajką z tysiąca nieprzespanych nocy.  
 Nigdy nie zdołam ująć myśli chwytem  
 prawdy ich lata, ni jesiennych złociń.  
 Raz tylko jedną przywiał mroźny wicher —  
 prawdę i woń jej w sypki śnieg zawinął:  
 Czarną, jak dni twe, w strzelistym kielichu  
 złotego, jak serce twe, wina.



EWA SZELBURG

## DZIEWCZYNA Z ZIMORODKIEM

*Fragment z powieści, która pod powyższym tytułem wkrótce ukaże się w wydaniu książkowym.*

Dnie były teraz niespokojne i napęczniałe, jak kielkujące ziarnka. Kosztem żyznych, czarnych nocy wydłużały się i nabierały barwy. Potem stanęły w mierze i długo nie mogły zdecydować się na nic, aż wreszcie, gdy już zdawało się, że zwiędną i uschną, — wykwitł opóźniony projekt jazdy do Bukrabia.

Jechał, oczywiście, pan Benedykt, a także Adaś.

Nim jednak projekt dojrzał, nim rozrósł się w dziesiątki postanowień, rozporządzeń, poleceń, nim się umocnił i zwałił na wszystkich kopcem szarych listów — już na świecie była pierwsza zima. Mówiły o tem zmięte, przy lada dotknięciu kruszące się liście, a także maleńkie śniegowe znaczki, lepiące się do szyb i do chodników.

We świecie bładziła już zima.

Tymczasem Adaś i pan Benedykt jechali w ciepłym wagonie prostą drogą do wiadomej stacji. Pan Benedykt drzemał, Adaś wyglądał przez okno. Za oknem, równoległe do pociągu, biegły w świat telegraficzne druty. Gdy pociąg stawał na stacjach, można było widzieć, że u każdego telegraficznego drutu wisi okrągła, drżąca łza. Gdy pociąg ruszał, druty telegraficzne też ruszały w drogę. Okrągłe, ciężkie łzy biegły po nich prędko, prędko.

Ojciec na którejś stacji obudził się z drzemki, kichnął, wyjrzał przez okno na peron, przebiegł rozprazonemi oczami po wilgotnych drutach telegraficznych i mruknął:

— Odwilż.

Pociąg sapnął i powłókł się dalej. Ojciec znów zadrzemał. A Adaś patrzył na biegnące z pociągiem druty i myślał:

— Jeśli ktoś teraz wysyła z miasta depezę, to wszystkie słowa będą łzawe.

I myślał jeszcze, że taka depeza może być tam gdzieś całkiem źle zrozumiana. Zrobiło mu się żal ludzi, którzy muszą porozumiewać się zapomocą depeż, i gdyby nie to, że bardzo mu się chciało pić, nie byłby może zjadł w tej chwili aż dwóch mandarynek.

A pociąg biegł coraz prędzej i tak się śpieszył, że przegonił dzień. Nie zdążył jednak dogonić nocy. Pędził krajem zmierzchów, mroków, ściemniań i mątu. Druty telegraficzne ledwie mu mogły nadażyć, sadząc milowe kroki białymi słupami. Wreszcie na którejś stacji zastali już czekającą na nich noc. Póki stali, mrugała wesoło żółtymi ślepkami i śmiała się obiecująco równiutkim rzędkiem białych świateł, ale gdy tylko za nią pobiegli, przyłgnęła czarną twarzą do okien, i nagle okazało się, że jest ślepa i niema.

Była także głucha. A nie mogli uciec od niej. Nie mogli jej też przegonić. Biegła wraz z nimi, sapała, stękała, przystawała na chwilę i, dysząc, znów biegła, biegła!

Adaś usiłował drzemać, tak jak ojciec, ale nie potrafił. Przyszedł konduktor, poprzykręcał lampki. Natychmiast wsunęła się do wagonu ślepa noc, głucha i niema. Wszędzie jej zaraz było pełno. Rozsiała się na obu ławkach, położyła się na półce z rzeczami, zajęła stolik i okno. Adaś nie wiedział zupełnie, co ze sobą zrobić? Na szczęście, lokomotywa zagwizdała jakąś niemądrą piosenkę, i za szybami zatańczyły wesoło iskierki. Noc cofnęła się trochę od okna i zaraz zrobiło się raźniej.

Adaś oparł głowę o wałek. Pociąg przyspieszył biegu. Teraz za szybą wyprzedły się nici krwawe z niewiadomego wrzeczona o palącym ostrzu.

Teraz za szybami ciągną się pasy ogniste.

— To są pewnie te druty telegraficzne — zgaduje Adaś — tylko czemu one teraz takie drżące i rozpalone do czerwoności? Widać, leci po nich taka depeza, co je do czerwoności rozpala.

I lęk go bierze o tych ludzi, co muszą się porozumiewać zapomocą takich boleśnie palących depeż.

Zwolna, zwolna ciemnieją nici czerwone, stygną pasy ogniste, wszystko się kończy, urywa i ginie w ciemnych rękach głuchoniemej nocy. Lekko kołysze się głowa chłopca na miękkim oparciu. Tuli ją sen.

A rano wszystko jest tak właśnie, jak trzeba. Pan Benedykt po solidnej drzemce czuje się trochę wypoczęty. Rozespany i wzruszony Adaś ma leciuteńkie dreszcze. Stacja, podkreślona w przewodniku kolejowym czerwonym ołówkiem, znajduje się o swojej porze na swoim miejscu.

Noc znikła, gdy jeszcze wszyscy spali, a teraz jest już biały dzień. Na stacji koni jeszcze niema. Trzeba trochę poczekać.

Opuścili cztery ściany wagonu i znów są w czterech ścianach poczekalni. Dopiero, gdy konie zajęły, gdy wyszli na podjazd, Adaś aż po brwi otworzył oczy: oto znaleźli się wśród czterech ścian świata. Nad czarnym murem borów stał słupem wschód gorący, na srebrnych pagórkach wspierała się modrość południa, o gładką równinę ostrzyła się północ, a tam, kędy skręcała droga, we mgłach przezroczyścił zachód.

Adaś oddychał prędko i patrzył pilnie, bo tak mu się zagnała przywidziało, że życie całe idąc, nie starczy czasu na dojsie. Ale pan Benedykt zatarł

wesoło ręce, zapiał uważnie ciepłe rękawice i powiedział:

— No, to tak jakbyśmy byli już na miejscu.

Potem usadowił się w sankach i pomógł wejść synowi. Furman okrył im nogi derką i starem futrem.

— Lisiura — poznał Adaś.

Zaciął ich ostry wiatr i pognali szybko.

Adaś wsunął ręce pod futro. Łaskotnęła go sierść sprężysta, a miękka. Chłopak drgnął cały! Uczuł nagle, że skóra na nim całym ścierpła i ścięła się w grudki dookoła włosków nigdy nie widocznych, a teraz przęających się i kłujących pod ubraniem. Zdjął go wstręt i taki strach, że nawet nie zakrzyknął. Wyciągnął ręce z pod lisiury i chłodził o wiatr. Był wściekły na siebie i dobrze wiedział, za co za usta, że rozciągnęły się w głupim uśmiechu! za oczy, że się mrużyły pod napiętymi brwiami! za nóg słodkie drzenie! za omdlenie serca i... lubość, utajoną we wstręcie, jak kropla miodu w osie.

Wymyślał sam sobie piekąciami słowami, aż go twarz porządnie zapiekła.

— Osłoń się od wiatru — rzekł ojciec i po chwili dorzucił ni to uradowany, ni to zasmucony nagle spostrzeżeniem: — A to wąsy ci się puszczaają!... widać pod słońce.

Adaś podniósł kołnierz i schował twarz głęboko.

Jechali teraz samym środkiem zimowego dnia, co był miękki od śniegu, a od mrozu ostry. Pan Benedykt uchylał wąskie, suche wargi i małymi porcjami łykał świeże powietrze, uważnie płócząc niem zakurzone miejskim kurzem gardło.

Zajechali jakoby między dwie wysokie szyby, pokryte pysznie rozgałęzionym zamrozem. Chłopak wstrzymał w sobie oddech, bojąc się, by zbyt gorące tchnienie nie wionęło mu z piersi na te szklane cuda, zdziałane w kształt drzew dziwaczných i oszronionych. Dołem, po białym parapecie śniegu, biegły we wszystkie strony, schodziły się, krzyżowały i znów odskakiwały od siebie jakieś drobne znaki. Adaś aż wychylił się z sań, tak chciał wiedzieć, co to? i na co komu potrzebne? Zbliża znaczki te wyglądały, jak jakieś powtarzające się słowa, rzucane w pośpiechu błękitną farbą na gruby, biały papier. Nie mógł ich jednak odczytać. Nie widział jeszcze nigdy ani tych rozczapierzastych, ani tych podwójnie wytłaczanych liter. Natomiast ojciec zdawał się je poznawać. Wyszukiwał wzrokiem jednakowe i, podkreślając wskazującym palcem, układał je w jeden, wyraźnie biegnący rząd. Przytem pogadywał głośno:

— Trop widać, jak na dłoni. Łatwo wyczytać, że zwierza huk być musi!

Furman pociągnął nosem, poprawił szalik na zylastej gardzieli i, przesiadłszy się bokiem na koźle, zagadał o rychłym polowaniu. Padły słowa celne, pachnące prochem i bigosem, zakurzyły się ciepłymi kłębami przasnej pary i ku wielkiemu żalowi Adasia, po obu stronach drogi szklane cuda zamrozów jeły się kurczyć do rozmiaru leszczynek i jałowcowych krzaków, zrzedły, zprzezroczyściały, aż wreszcie znikły całkiem, i znów było gładkie, czyste pole.

— Po takim śniegu jedzie się jak po stole — pochlebił zwalistemu śniegowi pan Benedykt. Furman zaruszał wysuniętą z szalika grdyką i końcem biczyska ukazał jakieś niewidoczne miejsce:

— A tam, onegdaj chłopca z podwodą zasypało na amen.

— Nie może być! — zachnął się pan Grażel.

— Po prawdzie, to noc była ciemna, koń ślepy na jedno oko, i chłop na obie nogi pijany.

— Chyba, że tak.

Daleko, w błękitnych dymach objawiły się nagle ciepłe kominy i ciężkie, szeroko osiadłe dachy. Pan Benedykt odetchnął pełną piersią i wyciągnął zdrętwiałe w kościach nogi. Dziwnie mu przypadł do serca ten widok.

— Tak... tak... już trzebaby wreszcie osiąść na swoim — uśmiechnął się w przyjemnym zatroskaniu.

Adaś rozejrzał się dokoła: — osiąść na swoim? Dołem leżała niczem nie ograniczona pustka, zmarznięta na kość i aż sina. Górą ciągnęła się pustka jeszcze bardziej nieskończona, jeszcze więcej sina, jeszcze twardsza i jeszcze większymi zwałami lodowemi zavalona na północy, jeszcze chmurniejszym śniegiem przysuta na południu.

Swoje? Co tu mogło być swoje?

Pomiędzy zwalistymi lodowemi obłokami, wśród chmur śniegowych, rozdętych nad ostrą, na kość zmarzniętą grudą, przechodziło śpiesznie bezosobowe zimowe słońce, a dołem, za jego niebieskawym cieniem, pełzył siwy mróz kolczastym jeżem i wyżerał śpiczastym ryjem wszystko, co nieopatrznie błyszczało się i lśniło.

Coby tu mogło być swoje?

Po przez puchaty śnieg, przetarty tu i ówdzie, świecą nagością martwe gnaty olbrzymiej ziemi. Adam z trwogą odwraca oczy od tego szkieletu, utajonego w śniegu.

— Zamknij oczy na chwilę, kiedy cię razi — razi doświadczenie ojciec.

(d. n.)



HANNA SKARBK

2

# JEMIOŁA

*Brytyjska idylla świąteczna — Hythe, Kent, Anglja*

## II.

Gladys wpadła do pokoju przyjaciółki cokolwiek wcześniej, niż zwykle; rozsunawszy firanki, prosiła tak grzecznie:

— O moja droga, możebyś już wstała! dziś to musimy naprawdę wszystko powykończyć, taki dzień...

Był to właśnie dzień wigilji.

Biały, mleczy odbłask padł przez okno na cały pokój.

Halina nie chciała się budzić, lecz gdy wreszcie otworzyła szerzej ślepe jeszcze ze snu oczy — zaraz wykrzyknęła niemądrze:

— Co! może śnieg? a mówiłam! — i przywarła do szyby.

Za oknem nie było nic widać.

Właściwie, wyrósł niewiadomo kiedy mur biały nieprzenikniony, od ziemi do nieba i otoczył dom ze wszystkich stron. Zasłonił cały świat.

— Mgła... biała mgła—skrzywiła się półka zgorzszona.

— A mgła,—przataknęła angielfka obojętnie,—i to taka najprawdziwsza. Zaraz będą wszyscy chorowali, bo jeżeli u nas „Boże Narodzenie zamglone — cmentarze przepełnione!“ Trudno, nic się nie da zmienić. Wyobrażam, jak tam dziś czarno w Londynie! a właśnie wiesz, Kit i Harry pojechali po prezenta. Ani się domyślasz... Harold zapytywał, co ci robi przyjem...

— Ależ ja nic, nic od niego nie wezmę! — oburzyła się Halina.

— Także... wszyscy wszystkim... No, błagam cię—wstawaj! Przysłali właśnie jemiołę..

— A choinka...—zaczęła cudzoziemka z leciutkiem rozrzewnieniem.

— Ależ nie! to tylko dla małych dzieci. Ja przepadam za jemiołą: jest w niej coś tajemniczego, coś z dawnego kultu celtyckiego, przecież wiesz...

— Nic nie wiem...

— Nie słyszałaś, o darling! wszak to święta roślina, gałązka zakochanych, najmiłsze ziele: pogody i pojednania. Gdy dwoje ludzi, żeby nie wiem jak pogniewanych, spotka się w pobliżu gałązki — muszą się pogodzić. Mogą się pocałować... u nas to zupełnie przyjęte, szczególnie w pierwszym dniu świąt; ładne, co?

Halina, nadszpedziewanie, potrząsnęła przecząco głową.

Wogóle, niewiadomo dlaczego, była w nienajlepszym humorze.

— Proszę cię, jeżeli dobrze, nam życzysz, po całujesz się ze wszystkimi. Ale dopiero jutro... jedyny radosny taki dzień w roku!

Nie słuchając angielfki, Halina przerwała:

— Moja droga, chciałam cię... już wczoraj poprosić: nie będę dziś jadła mięsa!

— Mięsa? ale dlaczego... chora jesteś?

Gladys aż przystanęła pośrodku pokoju.

— Nie... może to nawet wyda się dziwnem... ale ja nie będę dziś wogóle nic jadła, do wieczora.

— Żartujesz? co za kaprysy...

— Niech! proszę cię, nie śmiej się... przecież wieczorem, na wilji...

— Ależ ja ci już mówiłam, że u nas niema żadnej wieczerzy. Dzisiaj taki sam dzień, jak i wczoraj: i lunch, i obiad, jak codzień. Obstałowałam właśnie młodą baraninę z sosem miętowym. Nie pozwolę ci się głodzić. A jutro, jutro zrana pójdziemy do church i posłuchamy biblji. Później będzie świąteczne śniadanie, dwanaście osób, i każdy znajdzie przy swoim nakryciu paczuszkę, kilka paczuszek... To taka radosna chwila! Nawet stary człowiek staje się na krótko dzieckiem i cieszy się, cieszy... Ale najważniejsze, to będzie — X-mas Dinner, — obiad Świąteczny dwudziestego piątego, wieczorem. Teraz ci się przyznam: chcieliśmy wam wszystkim zrobić niespodziankę i obstałowaliśmy z Kitem obiad w pierwszorzędnej restauracji. Tak jest najmodniej. Pojedziemy tam w wieczorowych tualetach. Wszyscy zaraz przy wejściu dostaną pukawki i konfetti. Wszyscy zaraz ubiorą głowy w różnokolorowe kołpaki. Muzyka będzie grała świąteczne kolendy; ucza się rozpocznie od pompatycznego indyka, a później wjedzie na salę tradycyjny plum-pudding, oblany rumem, cały w płomieniach niebieskiego ognia... Lovely!! Zresztą, jestem pewna, będziesz zachwycona. No, śpiesz się, śpiesz, czekam na ciebie...

W hallu robota wrzała.

Cały stos zielonych gałązek piętrzył się pośrodku dywanu. Gladys z teściową wiązały je po kilka i roznosiły po całym domu. Flory włożyła po drabince i umieszczała wiązanki wysoko na gżemsach. Najsuciej przybierały kominki, na których przez wszystkie dni świąteczne miał płonąć ogień bez przerwy.

Angielki miały na wargach zagadkowe uśmiechy, nuciły po cichu urywane takty nieznanej piosenki. Zresztą, nie były muzykalne.



Wreszcie starsza pani kazała przynieść pończochy. Olbrzymie, długie, niczem buciska wielkoludów, uszyte z grubego płótna irlandzkiego.

Do pończoch tych wkładano pięknie opakowane sukienki dziecinne, a ponadto do każdej — smakowite pierniki z anyżem i kawałki świątecznego pudingu.

Stary Peter zabrał wszystkie pończochy, przewiesił je sobie przez ramię i poniósł do domu sierot.

Ustawiono też wszędzie kwiaty w donicach i napalono suchym jałowcem na wszystkich kominkach, aby było ciepło i pachniało. „Stare Gniazdo“ wyglądało, niczem odświętnie przybrana Świątynia.

Ale Halina utraciła naraz zdolność wchłaniania coraz to nowych wrażeń. Ruszała się lekko i obojętnie. Niczem się nie zachwycała. Wszystko, z czem się do niej zwracano, spełniała chętnie, ale bez najmniejszego uśmiechu.

Z niepokojem spozierała za okna: białe masy mgły kłębiły się coraz gęstsze. Pomimo południa — było ciemno i tak zimno, jak nigdy dotychczas. Mokre, lodowate kulki dreszczów toczyły się wzdłuż ramion i pleców. To było takie przykre. Pocztyljon — ten, o dwunastej — wcale nie przyszedł, a właśnie miała do niego prośbę... Zresztą i tak listy, dzięki jej lekkomyślności, nie zdążą na czas do kraju.

Uczuwała się winną i okoliczność ta pogarszała humor. Właściwie, chciałyby się położyć i zasnąć, zasnąć na długie godziny: nic bowiem już ani cieszyło, ani nawet interesowało. Zasyłała się w najciemniejszy kąt domu i teraz dopiero przypomniawszy sobie absurdalność swój sen!

Oczywiście, znowu ten afrykanin! jakieś opętanie czartowskie! Jechała znowu z nim, jego nowiutką limuziną; jechali najszybszym pędem, szeroką, piękną taką drogą do... Wilanowa. To ona prowadziła maszynę. Zimowe słońce kładło się wiśniowemi smugami po białych, puszystych polach i płonęło różnokolorowemi świeczkami na przydrożnych choinkach.

Harry mówił do niej najczystszą polską mową: — „jakże piękny jest twój kraj; czyż to możliwe, aby to był zwyczajny sobie dzień?!“

Wówczas gorąca fala uczucia objęła jej zimne, zlodowaciałe serce. Halina przysunęła się i bez najmniejszego zmieszania pocałowała pięknego Harolda w same usta.

A kiedy odchyliła głowę, aby spojrzeć — teraz — w te białe, pachnące storczykami oczy... krzyk ugrzązł w jej gardle. To nie był Harold! to wcale nie był Harry! ani ktoś nieznamy! Tuż obok, bliżusieńko, siedział uśmiechnięty ktoś swój, taki sam zupełnie, od stóp do głowy, bo to był właśnie...

Sekunda oszołamiającego zdumienia, i wszystko przepadło bez śladu. Zapewne się obudziła.

Nawet teraz, kiedy o tem myśli, to ma wrażenie, że ziemia usuwa się z pod stóp, i dlatego pewno napada ten dojmujący zawrót głowy.

O, znowu męski i dobrze znany czyjś śmiech, tuż, zda się, za dzwiami! Naturalnie, to — oni — już przyjechali! Kobięce głosy. dużo kobiecych głosów: to Maud, i Ruth, i Gladys!.. i jeszcze ktoś — Dlaczego one tak nieprzyjemnie się śmieją?

A trzeba wyjść na ich spotkanie.



W. MIŁASZEWSKA

27

## KACZĘTA

(powieść)

Grodno 10 maja

Droga Adelciu!

Jest lepiej, — ale było bardzo źle. Z początku ciągle majaczył, nawet mnie nie poznawał. Teraz niebezpieczeństwo minęło. Jednak nie trzeba, byś tutaj przyjeżdżała. Jest bardzo rozdrażniony cierpieniem i gorączką, powiada, że i tak dość się na niego napatrzycie. Siedz lepiej w Kopytowiu, moje dziecko, oddychaj dobrem powietrzem. W ostatnich czasach wyglądałaś mizernie. Jeślibyś wpadła do Warszawy, zajrzyj do szafy z futrami. Zapomniałam Walerce powiedzieć, żeby je wytrzepała. Do ojca pisuję codzień krótkie kartki. Jestem tak skołatana! Dziś pierwszy

raz zdrzemnęłam się godzinę w fotelu. Ciężko nas Bóg doświadcza, ale teraz nie powinniśmy myśleć o sobie, tylko o tym biedaku. Módl się za Stasia — i żeby mu Pan Jezus dał siłę.

Nie mam pojęcia, kiedy wrócę do domu. To przecież będzie zależało od Stasia. Tymczasem przytulam Cię do serca, droga Adelciu. Twoja kochająca ciotka

Justyna.

12 maja

Teraz zasnął. Cały ranek znów cierpiał okropnie. Jęczał i skarżył się, jak małe dziecko. Powtarzał, że go rwie noga, — ta noga, której niema!

Narzekał, że od kolana do stopy ma ciężką, rozżarzoną kłode, że mu palce drętwieją. Czyżby znowu zapomniał? Przecież boli go już teraz tylko rana po tem, co nie istnieje! Ale nie mogę się z temi skargami oswoić, zawsze truchleję z obawy, że może znowu wraca gorączka, że Staś majaczy.

Dziś minął tydzień od operacji. Tydzień, jak przyjechałam. Czas leci. A przecież pierwsze dni nie miały końca! Każdy składał się z 24 godzin jednako bolesnych, bez chwili odpoczynku, bez zmruczenia powiek.

Najgorzej majaczył ósmego — w sam dzień swoich imienin. Ciągle powtarzał, że musi koniecznie wstać z łóżka i ruszyć w drogę, bo ma daleki, długi marsz przed sobą. Trzymałam go za ręce, mówiłam mu, powtarzałam bez końca:

— Stasiu! Tak nie można: trzeba leżeć spokojnie... Doktorzy przykazali...

Patrzył na mnie oczami nieprzytomnego:

— Jacy doktorzy? Ja sam wiem, jak było! Panie pułkowniku, wzięliśmy Wilno! Kto powiedział, że to szalone pałki? Całemu światu pokazemy, jak się walczy o swoją ziemię!...

Potem się trochę uspokoił, ale pod wieczór wiadać gorączka się podniosła, bo krzyczał na cały głos:

— Jutro wkraczamy do miasta! Gdzie mój koń? Jędrak, hultaju, wyczyść mi buty na glanc! Musimy im pokazać, że polskie wojsko, to nie dziady... Chłopcy, śpiewajcie: „Jedzie ułan lasem“...

Chwyciłam za rękę doktora, który właśnie wszedł:

— Dlaczego on tak krzyczy? I nie poznaje nikogo, nawet mnie!... Czy to może być...

— Wszystko być może — odparł lekarz.

Dopiero nazajutrz, gdy Stasiowi gorączka spadła, zrozumiałam te straszne słowa. Doktor zatarł ręce z zadowoleniem i szepnął mi:

— Niech pani Bogu dziękuje. Mogło być gorzej. Teraz już jest uratowany.

— Co? Co jeszcze być mogło? Przecież chyba ta straszna operacja...

— Mogła być gangrena i śmierć — rzekł doktor bez ogródki.

Staś leżał, jak nieżywy, nieruchomy i blady kilka godzin. Na czole wystąpiły kropelki potu. Obudziliśmy się już dobrze po południu i szepnął bardzo cicho:

— Pić.

Potem otworzył szerzej oczy, spojrzał na mnie:

— To ciocia?

— Ja, kochanie! Ja jestem przy tobie. Zaraz dostaniesz pić, mój ty najdroższy! Bogu Najwyższemu dzięki, że mię nareszcie poznałeś!...

Wodził za mną wzrokiem, gdy się krzątałam, poprawiając kołdrę na łóżku ostrożnie, lekko, aby go nie urazić. Nagle spytał:

— Ciociu? Gdzie my jesteśmy?

— W szpitalu, Stasiu. W Grodnie.

— W Grodnie?

Myślał chwilę, jakby z wysiłkiem zbierał wspomnienia.

— W Grodnie? — powtórzył.

I raptem chwycił mię za rękę:

— Ciociu... niech ciocia powie... prędko! Co było z moją nogą?

— Z twoją nogą, kochanie? Wiesz przecie dobrze... Strzelił do ciebie z za węgła bolszewik jeden. Jakiście wjeżdżali do Wilna...

— ...jakiś wjeżdżali do Wilna... tak...

Odetchnął jakby z ulgą:

— Tak, pamiętam. Potem tu mię przywieźli. Noga bardzo bolała. Więc ja wciąż jestem w Grodnie? A co dziś mamy, ciociu?

— Co mamy?

— Jaki dzień?

— Piątek.

— Piątek?

— Wczoraj był dzień twoich imienin. Ale miałeś gorączkę...

— Wczoraj był ósmy maja?

— Tak, Stasiu. Leżałeś bardzo chory i nieprzytomny, kiedy tu przyjechałam. Ale dziś, z łaski Boga...

— Ósmy maja... ósmy... — powtarzał i coś w myśli rachował. Potem znów spytał:

— Ciocia dawno przyjechała?

— W poniedziałek, Stasiu. Jak tylko dali znać, że ty...

Spojrzał na mnie uważnie i nagle, głosem tak przejmującym, że mało nie upuściłam szklanki z herbatą:

— Ciociu!... Ale wtedy... Ale mnie nogi nie obcięli? Ciociu?!

Tyle przerażenia było w tem zapytaniu, że odparłam z pośpiechem:

— Skądżeby, Stasiu! Cóż znowu!

Uspokoił się, przymknął oczy:

— Bo ja się bałem, że... Ale to niemożliwe! Z takiego głupiego postrzału... Tylko mi noga puchła i puchła w kolanie... I ten ból! Musieli źle opatrzyć naprędce, tam w Wilnie... Bandaże mi się w drodze obsunęły...

— Nie mów tak dużo, najmilszy. Jeszcze sobie zaszkodziś...

— Nie. Teraz, kiedy już lepiej... Ale ciocia nie kłamie? Ciociu! Ja mam obydwie nogi całe?

— Złoto moje, uspokój się...

— Zresztą — szepnął — ona wciąż boli. Bardzo boli. Żeby jej nie miał, nie bolałaby przecie...

Łzy mię dławiły; potakiwałam tylko w milczeniu, chowając twarz od światła. Miłosierdzie boskie, że on, leżąc nawznak, nie może tego zobaczyć. Bo przecie, pod tą cienką kołdrą... I ta pustka, ta okropna pustka tam, za kolanem, po prawej stronie...

Widać się zmęczył rozmową, bo znowu usnął i już spał do wieczora. Lekarz zajrzał, jak zwykle o ósmej, ale szepnął mi tylko:

— Niech śpi. To lepiej. Opatrunek zrobimy rano. A i pani radzę trochę odpocząć. Przy chorym siostra posiedzi. Nie można swoich sił przeceniać... Ja nawet nie rozumiem, skąd pani tyle ich bierze.

— Skąd ja je biorę? To prawda... Cztery dni — i jedna noc w wagonie! Żebym choć na moment oczy zmrzyła... Ale tego nikt nie zrozumie, kto takich chwil nie przeżył.

Wtedy jednak poraz pierwszy usnęłam. Spałam pewnie z godzinę, nie więcej. Nagle — budzę się, ale to tak, jakby mię ktoś za ramiona chwycił i potrząsnął: zrywam się, — patrzę, a tu Staś siedzi na łóżku. Oczy szeroko otwarte, pięści zaciśnięte na kołdrze. Jezus Marja! Przeraziłam się, jak chyba nigdy w życiu:

— Co tobie, Stasiu? Boli cię co?

A on nic. Patrzy i patrzy przed siebie. Pomyślałam: czyżby gorączka? Może znowu stracił przytomność?

— Dlaczego siedzisz, Stasiu? Wiesz przecie...

Pozwolił się ułożyć bez słowa. Ciągłe milczał i patrzył gdzieś poza mnie. Siadłam tuż przy łóżku, odgarnęłam mu włosy z czoła, były zupełnie mokre. Dopiero wtedy odezwał się:

— Ciocia skłamała. Nie mam nogi. Nie mam nogi!... Nie mam nogi!...

Powtarzał tak bez końca, ciągle to samo zdanie. Była to nie mowa, ale prawie jęk. Nagle krzyknął:

— Dlaczego to zrobili? Trzeba było mię dobić! Czemu ciocia kłamała? Teraz i tak wiem prawdę! Było mię zostawić w spokoju... Przyszłoby zakażenie i śmierć. Możeby już dziś nie żył! Ja nie chcę żyć... Ja nie chcę żyć!...

Jezu, Jezu! Mareczek zginął od kuli, trafiony w serce. Myślałam, że już nic straszniejszego w życiu spotkać mię nie może. A to było straszniejsze. To było, jak śmierć, która się z miejsca nie rusza: ani odchodzi, ani podbiegnie prędzej, żeby zadławić do ostatka. Ta jedna noc starczyłaby mogła chyba za wszelkie grzechy, odkupiłaby wszystkie winy, jakie tylko od przyjaciela na świat...

Po krzykach rozpacz, buntu i po bluźnierstwach — w jakiejś wreszcie godzinie przyszła ulga. Bóg nieskończenie miłosierny łzami przysłonił Stasiowe oczy i pozwolił mu płakać. Szlochał już nie jak małe dziecko — dziecku zabrakłoby w końcu łez i usnęłoby cicho, zmordowane. Szlochał, jak mężczyzna, któ-

ry walczy z cierpieniem, póki go nie zwycięży. Kobiety często płaczą: ich płacz jest albo cichy, albo krzykliwy i kończy się otarciem zapuchniętych oczu, westchnieniem, albo nawet uśmiechem. A to był straszny, śmiertelny płacz, po którym człowiek — jeśli go przetrzyma — rodzi się z inną duszą.

Płakaliśmy, trzymając się w objęciach mocno, ze wszystkich sił. Poduszka była mokra od łez, zmieszanych razem. Wreszcie za oknem zaczęło się przejaśniać, — wstawał dzień nowy, okrutnie jakiś ciepły i słoneczny. Staś zwolnił uścisk swoich rąk. Opadły bezsilnie, jak rzeczy martwe. Podobne były do ramion krzyża, obalonego przez nawałnicę w białą zaspę pościeli.

15 maja

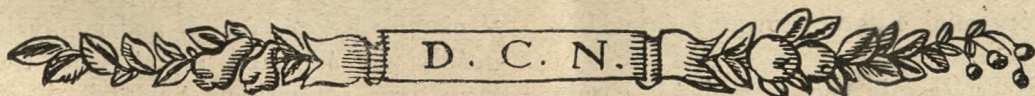
Mam teraz dużo czasu — mogłabym pisać i pisać. Ale o czym?

Dnie przechodzą powoli, wloką się niby jednostajne, a każdy przynosi nowy ból. Nazajutrz po tej okropnej nocy, zmęczony w dodatku opatrunkiem, Staś był jeszcze bardziej milczący, chociaż nie spał. Zaczęłam list do Adelci. Chciałam z początku opisać wszystko pokolei — co tu przeżywam, patrząc na mojego biedaka — lecz jakoś nie szło. To dziwne, jak ja nie umiem pisać listów. Nim zasiądę do pisania, wydaje mi się, że czasu i papieru nie wystarczy na wypowiedzenie wszystkiego, a ledwie pióro umoczę i zacznę: „Kochana Adelciu“, albo „Kochany Teofilu“ — raptem czuję, że mam zupełną pustkę w głowie. I już z najwyższym wysiłkiem sklecę kilka najpotrzebniejszych zdań, byle czempredziej dobrnąć do końca i móc wreszcie napisać: „Ściskam was serdecznie, kochająca was ciotka — Justyna“.

Co innego z tym moim dzienniczkiem. Coraz częściej mi się wydaje, że gdyby nie to przyzwyczajenie zapisywania najdrobniejszych czasem szczegółów — chybabym oszalała z tęskni. A tak, piszę — a każde wspomnienie zapisane jest jak łza, co spłynęła z oczu i już do nich nie wróci.

Bo, na przykład, teraz. Od tyłu dni życie jest poprostu strasznym koszmarem, a każde słowo, jak ostry nóż, rozkrwawia tę niezaschniętą i wiecznie żywą ranę.

Wiem już teraz, że Staś napewno będzie żył, że wyzdrowieje wkrótce — ale mię biały strach ogarnia na myśl o pierwszej chwili, kiedy stanie wreszcie na nogach! O Jezu! Nie na nogach! Na nodze... Na swojej jedynej nodze przejdzie o kuli przez pokój...





Bazylika <sup>ś</sup>świętej Sabiny w Rzymie

ZYGMUNT KNOTHÉ

## IMPRESJE KOŚCIELNE

*Kościół starochrześcijański*

Roma ginęła. Rzym cesarów zarzył się u stóp północnych barbarzyńców. W łunach pożarów, w zgiełku walki dogorywała historia starożytna. Kończył się wielki okres dziejowy, wyrosły na greckiej kulturze, poparty potężną cywilizacją. Przepadały na wieki arcydzieła sztuki. Zasnuwały się dymem ruiny pałaców, rozpadały na kawały posągi, tłuczone młotami; ogień pożerał wszystko, co było palnego; nogi najeźdźców deptały ogrody Palatynu. Zdawało się, że koniec świata następuje, a nie przeczuwano, że to narodziny nowej ery.

Niszczono Rzym z zapalem. Zbyt długo był on symbolem ucisku, szatańskiej potęgi i tyranji. Jeszcze z piasku cyrkowych aren unosiły się opary chrześcijańskiej krwi, niby przyjęty ofiarny dym do stóp Stwórcy, dym, co miał z latami okrzepnąć, jako filar świata.

Ze wspaniałych świątyń wygnano potrzaskany legion bogów marmurowych, a świątynie zburzono. Zniszczono pogański przepych pałaców i zniszczono całą wspaniałą sztukę, — bo była pogańską i wyrosła na glebie, przesiąklej krwią ciemionych ludów.

A wzamian wyrastał ponad miasto świetlany, olbrzymi krzyż, który miał odtąd panować światu, i błogosławił urbi et orbi.

Nowa wiara wyłaniała się z zaułków, z ruin,

z katakumb. Nowa religja zajmowała miejsce tysiąca ślicznych bóstw, — religja pogardzanego motłochu, plebsu, niewolników. Była tak biedna: nie miała nic, prócz tego krzyża i promiennej postaci umęczonego Galilejczyka. A była tak potężna! Tylokrotnie zabijana, męczona, pogardzona, — żyła wciąż, coraz mocniejsza!

Religja miłości wszechludzkiej, pokory, przebaczenia.

Pierwsze wieki chrześcijaństwa, — to królestwo ducha, to najwznioślejszy okres wiary, chowanej w sercu. Nic nazewnątrz. Pokora i łagodność. Ofiarność z własnego życia. Samozaparcie się najwyższe. A szczęście — to śmierć męczeńska z imieniem Chrystusa na ustach, to upragnione wyzwolenie duszy, pojednanie z uwielbianym Mistrzem.

Wieki całe modlitw w ciemnicy katakumb, nocnych nabożeństw. Nic z przepychu uroczystości, nic z ceremonjału, dźwigającego sztucznie ducha na wyżynę misterjum. Czysta wiara i uczucie tak mocne, że nie sposób go sobie wyobrazić.

Pierwsze wieki chrześcijaństwa. Cała wielka sztuka starożytna służyła pogaństwu, była wrogą. W ciemnych korytarzach podziemnych ręce wiernych kreśliły po ścianach prymitywne freski, wizerunki Boga-Syna i zmarłych świętych męczenników. Mo-

dlono się do nich i oczami duszy widziano ich żywych, pięknych i potężnych. W ciszy, ciemności i skupieniu dochodzono do największej ekstazy religijnej.

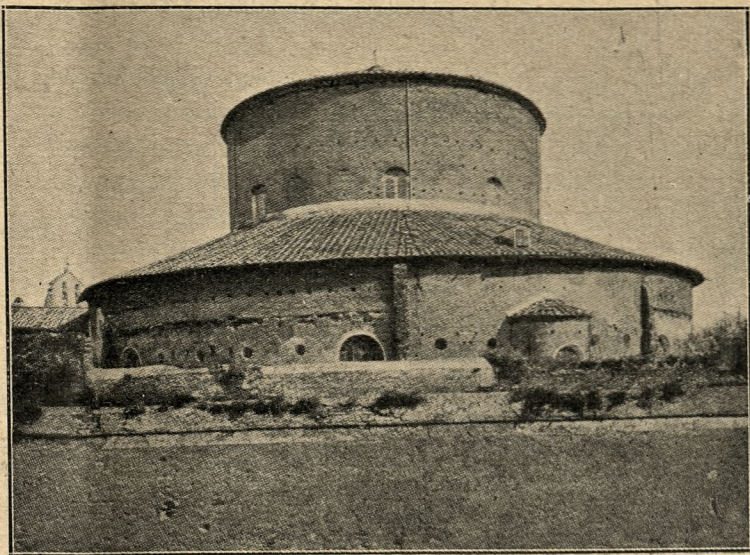
Aż przyszedł dzień, gdy runął potępiony Rzym i można było wznieść pierwszy kościół. Z czego? Leżały wokół gruzy zniszczonego miasta, leżały powalone dumne kolumny świątyń i pałaców. Czyż miało być przeszkodą, że służyły innym kultom? Skąd było wziąć tak odrazu zastęp wyszkolonych majstrów i artystów, inny materiał? Kto wie: może przed użyciem kamieni z pogańskich ołtarzy kropiono je święconą wodą, może kolumny z pałacu cesarów owiewano dymem z kadzielnic i żegnano znakiem Krzyża Świętego? Aby świadków dawnych orgij można było użyć do wzniosłej służby Jedynemu Bogu.

Dość, że z ruin starego miasta wyrastał nowy kościół. Nie myślano o sztuce, o pięknie, o formie. Byle był. O surowej, brzydkiej bryle zewnątrz, prosty i pusty wewnątrz, z kolumnami nierównej wielkości, zakopanymi podstawą w ziemi, lub podłożonemi marmurową płytą. Jeszcze w tym kościele panował najczystszy duch, jeszcze kształt zewnętrzny grał podrzędną rolę, sztuka była zbędną.

A oto powstają nowe, wielkie kościoły. Znow wzięto formę pogańską z umarłego miasta. Zapożyczono kształtu z bazyliki: wydłużony prostokąt z rzędami kolumn wewnątrz, z półokrągłem wgłębieniem na podłużnej osi, gdzie niegdyś siadywał sędzia,



S. S. Cosma e Damiano na Forum Romanum



S. Stefano Rotondo w Rzymie

a dziś wznosił się ołtarz i krzyż. Według dawnego „sposobu“ rzeźbiono głowice i bazy kolumn; jak dawniej kładziono deseniową posadzkę z marmurowych płyt, obmurowywano łuki okien i wejścia.

Ale już wokoło, nad kolumnami, biegnie w ornamentyce rząd wizerunków świętych mężów. Sztwani, poważni, patrzą w głąb siebie szklanymi oczami. Są nie z tego świata, żyją gdzieindziej, tu — tylko ich martwe maski.

Wiara zatacza coraz szersze kręgi, coraz więcej wiernych, coraz więcej kościołów wyrasta na łacińskiej ziemi. Rodzą się nowi artyści. Nowe talenty pragną uświetnić nazewną potężniejszą religję. Lecz brak im szkoły, brak mistrzów, brak kierunku. Stara sztuka jest przeklęta, trzeba odejść od niej jak najdalej. Trzeba stworzyć nową sztukę dla nowej wiary.

Im dalej od upadku Rzymu, tem bardziej ponure są dzieje. Jakies mroczne lata, walki, pożary, epidemie. Ludzie giną, przychodzą nowi, i znow inni ich zmieniają. Pogrzebana zdaje się na wieki stara kultura i sztuka. Ludzkość dziczeje. Sztuka się ślania i czepia, jak wątła roślina, murów kościoła. On jeden trwa niezmiennie, coraz liczniejszy. Jemu tylko może ona służyć, ku Jego chwale żyć. Duch artystów błaka się, szuka form dla wyrażenia uczuć, w coraz większej nieudolności pogrążony.

Wówczas przyływa ze wschodu prąd sztuki jaknajbardziej chrześcijańskiej, a najzupełniej obcy i odrębny od sztuki łacińskiej — bizantyzm.



## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

O ile koncerty obfitują w nowości, o tyle opera nie stara się nawet o „minimum“ ożywienia sezonu. Premjery odbywają się na przestrzeni niezmiernie, gdy wznowienie, albo wystawienie opery w nowej szacie nigdy nie odbywa się we właściwej formie. Najlepszym tego dowodem było ostatnio przedstawienie Lohengrina. Zmiany w dekoracjach, szatach i scenerji nie są sprawą najważniejszą, ale partie główne poleca się śpiewakom o przepięknych głosach, u których, jednakże, zarówno w opracowaniu wokalem, jak i dramatycznym, odczuwa się poważne braki. Helena Lipowska — to słodki głos, o aksamitnym brzmieniu we wszystkich rejestrach i dobrej intonacji, który, mimo wszystko, w sumie nie daje całokształtu frazy i nie opanowuje dramatycznej ekspresji w śpiewie. To samo można powiedzieć o tenorze Wolińskim, który, jako Lohengrin, przy świetnych warunkach wokalnych, nie robi zupełnie wrażenia śpiewaka o pewnej kulturze wokalne i dramatycznej.

Daje się u naszych, najlepszych nawet śpiewaków gwałtownie odczuwać brak korepetycji nad głosami, które skądinąd, pielęgnowane umiejętnie, dałyby fenomenalne rezultaty.

Tylko, niestety, niema się komu tem zająć!

\* \* \*

Daleko lepiej wypadł Lohengrin w innej obsadzie, z Polińską - Lewicką i Sowilskim. Pełen dźwięcznego liryzmu głos Polińskiej - Lewickiej, o najcieplejszym brzmieniu, umie zdobyć się na silny akcent dramatyczny i na ekspresję, konieczną do stworzenia kreacji scenicznej. Sowilski, jako Lohengrin, obok pewnej intonacji i umiejętności frazowania, daje kreację dramatyczną bardzo właściwą, a przede wszystkim — obznajomioną doskonale ze stylem wagnerowskim, mało u nas kultywowanym, w odpowiedniej formie. Dlatego znajomość sceny i niemieckiego dramatu muzycznego, którą posiada Sowilski, jako dorobek swojego wieloletniego pobytu na scenie niemieckiej, może dać nieocenione wskazówki innym śpiewakom, u których, niezależnie od najlepszych nawet warunków wokalnych, razi często nieumiejętność występowania w dramacie operowym.

### WZNOWIENIE „KRÓLA ROGERA“

W operze wznowiono „Króla Rogera“ Szymanowskiego. Opera ta, o niezaprzeczonej wartościach partytury orkiestrowej i przepięknych, natchnionych fragmentach solowych, wokalnych, — nie robi, mimo wszystko, w całości tego wrażenia, co poszczególne części, traktowane z wyrafinowaną kulturą, właściwą stylowi i twórczości Karola Szymanowskiego. Szybkie tempo życia, które zmusza ludzi powojennych

do rozpraszania się i nie pozwala na dłuższe refleksje przeżytych wrażeń, szuka w sztuce tego samego puls, jaki towarzyszy zajęciom codziennym, o niepokojnym, nierównym rytmie, o niepowstrzymanym pędzie, — aby się nie dać wyprzedzić innym, zabiegającym o to samo — życie. Dlatego ludzi, którzy przeszli kalejdoskop wojny i zmieniające się ciągle jeszcze konjunktury życiowe — może zainteresować jedynie temat, choćby operowy, ale organicznie związany z życiem. Życie ma swoje prawa, i ono właśnie dzisiaj nie pozwala się zatrzymać dłużej na najpiękniejszej choćby rzeczy, która dla niego jest — martwa.

Tematy symboliczne miały ongiś powodzenie, szczególnie za czasów pseudoklasycyzmu, jako balety, w których sztuka choreograficzna była ekwiwalentem dramatycznego przeprowadzenia akcji scenicznej, gdy symbol, towarzyszący dramatycznemu słowu śpiewanemu, ustępował szybko innym, żywotniejszemu, nie wymagającym komentarzy temat, przystępniejszym dla szerokiego ogółu.

W całej historii literatury operowej, każdy inny temat, — historyczny, czy komedjowy, ludowy, czy biblijny — mógł raczej liczyć na dłuższe życie, aniżeli temat obciążony symbolem. Weryzm, jako kierunek w sztuce, który był niejako prekursorem późniejszych wypadków, w silnych efektach operowej dramatyczności, — zbladł znacznie, po latach, wobec szerokiego oddechu i tempa, w którym dostosował się do życia — kinoteatr. Literatura i muzyka znalazły wyjście w kontrastowych skrótach, które miały zastąpić nużącą w dzisiejszych czasach fabułę.

Twórczość Karola Szymanowskiego zesłała z gościńca, szukającego kontaktu z życiem. Jego śpiew operowy pełen poezji i natchnionego liryzmu, partytura orkiestrowa napisana z całą maestrią opanowania bogatego aparatu technicznego i z genialnym poczuciem muzycznego brzmienia, — złożyły się w „Królu Rogerze“ na dramat symboliczny, a więc odbiegający najdalej, od warunków dzisiejszości, bo — od życia. Rozdwojenie jaźni, które ucieleśniło się w dwóch postaciach: Króla Rogera i Pasterza, nie przemawia do słuchacza dość żywym wyrazem dramatyczności. Za mało żyje Król Roger, aby mu współczuć można, za słabe hasła radości życia i użycia głosi pasterz, aby mu uwierzyć można, że siła jego żywotności pociągnie za sobą dwór Rogera i Roksanę.

Niezależnie od libretta, — muzyka i śpiew, traktowany, jak pieśń, przemawia silnym akcentem niezwykłego talentu Karola Szymanowskiego.

### Z FILHARMONJI

Laureat konkursu szopenowskiego, Oborin, zachęcony psychopatycznym wprost entuzjazmem polskiej publiczności, wystąpił dwa razy w Filharmonji,

jednakże z mniejszym znacznie powodzeniem, aniżeli to, na które przygotowali się słuchacze. Doskonały i bezwzględnie niezwykle zdolny Oborin - uczeń musiał zawieść nadzieje, jako Oborin - wirtuoz. Bardzo pięknej, perlistej, samorzutnej technice i zewnętrznie-emu opanowaniu fortepianu — brakuje dokładnej znajomości stylu muzycznego, indywidualności dojrzałego artysty, a szczególnie — kultury muzycznej. Publiczność, która niejednokrotnie nie umie segregować wartości, i bierze zawsze całokształt wykonania programu, rozczarowuje się szybko i potępia nawet niedawnego, podziwianego nad zasługi ulubieńca. Tak się właśnie rzecz miała z Oborinem: wypełniona po brzegi sala oczekiwała silnych wzruszeń, których świetny uczeń jeszcze dać nie może. A jednak, niektóre etiudy szopenowskie były grane bardzo pięknie; „Apassionata“ Beethovena przeszła bez wrażenia, zarówno jak i utwory Liszta.

Czasem mści się niezasłużona sława... P. L.

## Z TEATRÓW

### TEATR NARODOWY

„Lekarz miłości“ komedia w 3 aktach *Włodzimierza Perzyńskiego*. Reżyserował *Ludwik Solski*.

Rzadko się u nas zdarza, żeby na premierze już po 1-ym akcie wywoływano autora. Nie można przypuszczać, żeby tu oddziaływał sam czar nazwiska, bo wprawdzie twórca „Uśmiechu losu“ ma już rasę swoich stałych odbiorców, których hojnie obdziela uśmiechami swego humoru i zgrzytami ironji, ale rasa ta, choć liczna, rzadko się zdobywa na samorzutny odruch. Coś tkwi jednak niezaprzeczalnie żywego, pulsującego rzeczywistością, nabrzmiałego krwią w tej sztuce, wadliwie, a przynajmniej niedość konsekwentnie zbudowanej, przeładowanej sytuacjami naciągniętymi, zaludnionej typami, które się zna nierównie lepiej ze sceny, niż z życia. Takich ministrów, takich Jabłonowiczów, takie aktorki, takich arystokratów i modystki jużśmy wielokrotnie spotykali i u Perzyńskiego i u innych. A jednak... zobaczyliśmy starych znajomych w nowej skórze z równą przyjemnością, z jaką ogląda się podręczne rodzinne panoptikum: staroświecki album z fotografjami krewnych. Wszystkich umie się napamięć, ale przyjemnie popatrzeć na znajome surduty, brodawkę na nosie ciotki Pelagji, tłustego dzieciaka, który dziś jest tyczkowanym profesorem, sztubaków w mundurkach, zapiętych pod szyję, i pensjonarki z warkoczem, przerzuconym przez ramię.

Podobnież z Perzyńskim. Z banalnych portretów, wyjętych z gablotki przeciętnego wielkomiejskiego fotografa, układa przezabawne łamigłówki sytuacyjne, a jeśli napięcie akcji słabnie, podsycy jej płomień garścią gazetowych dowcipów, tych rac fe-

ljetonowych, które nie palą, ale smolą i z mętnego oblicza typów brukowych wydobywają na światło kinkietów — maskarę.

Uwijają się te maski ludzkie po scenie, każda w orbicie swoich własnych potrzeb, ambicji i namiętności, zazębiających się o orbity sąsiednie i wywołujących tem zetknięciem niespodziewane tarcia, krótkie spięcia, iskry i wyładowania elektryczności.

Najżywiej skreśloną i najlepiej zagrana jest bezsprzecznie postać aktorki w interpretacji *Ćwiklińskiej*. Ta świetna i inteligentna artystka ma, obok dużej kultury nabytej i ciągle narastającej, jeden wrodzony dar: zdolność chwytania na gorącym uczynku nie tylko słów, ale podświadomych odruchów i pomyśleń autora. Każde spojrzenie, gest, rzucony od niechcienia, mają swój ukryty sens psychologiczny, często głębszy i trafniejszy od wygłaszanego tekstu. I to właśnie sprawia, że każda sylwetka w wykonaniu *Ćwiklińskiej* staje się bryłą: z dwuwymiarowości rysunku przechodzi w trójwymiarowość dotykalnego tworu architektonicznego.

Ten konstrukcyjny talent *Ćwiklińskiej* pozwala jej z rozproszonych odruchów i ułamków myśli autora lepić małe arcydziełka gry aktorskiej, tem bliższe nam, że pozbawione patosu, a okraszone bezpośrednim wdziękiem kobiecości.

Tę bezpośredniość w odczuciu i uchwyceniu typu miał i *Zelwerowicz* w roli „świeżego w kulturze“ *Jabłonowicza*. Warunki zewnętrzne tym razem znakomicie dopomogły mu w podejściu do typu gruboskórnego dorobkiewicza. Natomiast w grze *Solskiego* znać było przedewszystkiem dużą wiedzę aktorską. *Solski* nie może zagrać źle, ale postawa jego do roli ma rozmaite skale. Jego minister był postawiony na stopie przyzwoitości. To znaczy, że nie był zły, ale mógł być lepszy.

Natomiast *Dulębianka* w roli starej arystokratki dała z siebie wszystko, co sztuka aktorska w tym zakresie dać może. *Gromnicka*, w roli naiwnej wdówki, była miła i wyglądała uroczo, a że nie mogła w nas tchnąć wiary w realność swego istnienia, za to trzy czwarte odpowiedzialności spada na autora. Reszta postaci zarysowana była zbyt blado, żeby z nich można było coś więcej wykrzesać, poza wrażeniem, że zablakali się na scenę z nieprawdziwego zdarzenia.

Sztuka wyreżysowana była umiejętnie. Tylko w drugim akcie przydałoby się więcej ruchu. Jesteśmy przecie w hallu jakiegoś Bristolu, czy Europy, i kręcić się tam powinno więcej ludzi, niż na afiszu. Tę samą uwagę należy zastosować do sklepu z bielizną w akcie trzecim. Dziwny to jakiś magazyn, do którego po zakupy przychodzą tylko znajomi kasjerki, panny *Marty*.

A propos gałganków! oprócz nieszczęśliwego kostjumu *Gromnickiej* w pierwszym akcie, kolekcja sukien *Ćwiklińskiej*, *Gromnickiej* i *Dulębianki* była bez zarzutu. Custowne, barwne, nieprzesadne. S. P. O.

## Kobieta w świecie i w domu

### DLA POLSKICH DZIECI W NIEMCZECH

„Rzeczpospolita“ podaje do wiadomości, że Związek Obrony Kresów Zachodnich rozpoczął w ciągu grudnia akcję pomocy dla matki i dziecka polskiego w Niemczech.

Akcja ta będzie polegała, przedewszystkiem, na przesłaniu każdemu dziecku polskiemu w Niemczech listu i podarunku gwiazdkowego z Polski.

Według ostatniej statystyki, dzieci polskich w Niemczech jest 200.000.

W celu rozszerzenia swej działalności, Związek połączył się z „Naszą Czytelnią“ w Warszawie, dostarczając książki na polski Górną Śląsk.

H. S.

### GŁOSY PRZECIWKO POLICJI KOBIECEJ

Słyszeliśmy i pisaliśmy niejednokrotnie, że na skutek wniosku komisji do zwalczania handlu żywym towarem przy Lidze Narodów, po wielu miastach europejskich zostały utworzone kadry kobiet-policjantek.

Sprawozdania z działalności i użyteczności tych nowych placówek kobiecych, dokonane przez poszczególne rządy, zostały niedawno opublikowane przez biuro genewskie i podane do wiadomości szerszych mas.

Obok całego szeregu państw (Czechosłowacja, Rumunia, Holandia, Finlandja, Anglja, Australja i Argentyna), które wypowiedziały się za tą reformą, przedstawiając działalność kobiet-policjantek w jak najlepszym świetle, — Francja i Grecja wystąpiły z protestem, zapatrując się bardzo sceptycznie na tę inowację.

Unja zaś południowo-Afrykańska posunęła swój protest do tego stopnia, że odmówiła wręcz utworzenia u siebie kadr policji kobiecej, uważając ten fach za nieodpowiedni dla kobiet pod każdym względem.

Ale dlaczego? nasuwa się rzeczowe pytanie — kiedy właśnie kobiety-policjantki potrafią najskuteczniej walczyć z handlem kobietami?...

Chyba dlatego, że w krajach tych prostytutka urzędowa kwitnie w najlepsze, że dziewczęta młode wciąż są przedmiotem handlu, i że cały szereg pośredników czerpie z tej brudnej afery olbrzymie zyski do swych kieszeni.

H. S.

### ŚPIESZCIE SIĘ, POLKI!

Międzynarodowa Federacja Kobiet z wyższym wykształceniem, pragnąc przyjąć z pomocą kobietom w sprawie studjów zagranicą, ogłasza stypendjum naukowe w sumie 250 funtów szterlingów, dla członkini jakiegokolwiek stowarzyszenia kobiecego, wchodzącego w skład Federacji,

Studja naukowe mogą być obrane z dziedziny przyrody, fizyki, matematyki, prowadzone w kraju ojczystym, lub zagranicą.

Polskie Stowarzyszenie Kobiet z wyższym wykształceniem, które pozostaje w stałym kontakcie z Federacją, pragnąc ułatwić polkom wyższe studja zagranicą lub w kraju, ogłasza warunki, niezbędne do starania się o stypendjum,

Ubiegać się o stypendjum mogą członkinie Stowarzyszenia nie mające więcej ponad lat 30 i mogące wykazać się samodzielną pracą naukową, już opublikowaną, oraz opracowanym planem zamierzonych studjów.

H. S.

### NA SZEROKIM ŚWIECIE...

„Daily Mirror“ podaje ciekawe wiadomości o pracy kobiet w Anglji, z których dowiadujemy się, że w kraju tym przeszło 250 kobiet zajmuje stanowiska kierowniczek — banków handlowych, towarzystw asekuracyjnych, dzienników, hoteli, restauracyj,

Aż trzy kobiety zostały dopuszczone do sprawowania urzędu pastora.

W Londynie mianowano poraz pierwszy pięć kobiet sędziami pokoju. Pierwszą kobietą-burmistrzem w Liverpool'u, jak już podawaliśmy swego czasu, została Margaret Beavau.

Ogłoszony też został już paragraf do ustawodawstwa cywilnego, przyznający matce w stosunku do dzieci te same zupełnie prawa, co i ojcu (prawo opiekuńcze, prawo do prowadzenia interesów majątkowych i t. p.).

Panna Lloyd George, jak utrzymują w kołach politycznych, będzie kandydować w przyszłych wyborach do parlamentu, z listy stronnictwa liberalnego.

Miss Megan George, należy spodziewać się, ma już za sobą duże doświadczenie polityczne, nabyte przy współpracy ze swym ojcem.

We Francji rząd zapowiedział wprowadzenie do parlamentu projektu prawa o ochronie matki nieślubnej.

Uchwalona została również ustawa, ułatwiająca zlegalizowanie małżeństw nielegalnych, polegająca na tem, że gdy para, żyjąca przez dłuższy czas w związku nielegalnym, zawiera ślub kościelny — formalności, niezbędne do ślubu, zostaną uproszczone do minimum.

W Belgji mianowano sześć kobiet na stanowiska burmistrzów.

W Brazylji weszło w życie nowe prawo o dopuszczeniu kobiet do wszystkich stanowisk państwowych, włącznie do stanowiska prezydenta republiki.

Jak się okazuje, w tym kraju jest najlepiej!

W Chinach nacjonałiści rozstrzelali piętnaście dziewcząt i kobiet, które obcięły sobie warkocze, co uważane jest za wyraz przekonań komunistycznych.

W Hiszpanji związek narodowy kobiet hiszpańskich wystosował do zgromadzenia narodowego petycję, domagając się, aby kobiety zamężne otrzymały te same prawa nad dziećmi, co i ojcowie, i aby w Hiszpanji zaprowadzono rozwody.

H. S.



Kobiety belgijskie złożyły w parlamencie petycję w sprawie skrócenia służby wojskowej do sześciu miesięcy. Od lewej do prawej pp. M. Adenn, sekretarka stronnictwa kobiet socjalistycznych, L. Bruyninck, delegatka kooperatystek, J. Van den Flasch z Olgą Femcomier, delegatki Związku [spółdzielni, A. Pels, korespondentka międzynarodowa.



## PSYCHOLOGJA MODY

O modzie wypada wprawdzie mówić tylko z uśmiechem pobbżania i tonem wyższości. Moda nie jest tematem poważnym. A jednak spojrzawszy głębiej, spojrzawszy na przestrzeń wieków za nami i na znaczenie mody w chwili obecnej, niepodobna nie przyznać, że jest to zjawisko potężne, normujące życie milionów ludzi w przeszłości i terażniejszości. I to normujące je nietylko zewnątrznie—ekonomicznie—ale i wewnątrznie—psychicznie. Rozpatrując tak całokształt zjawiska mody, wydaje się, że to nie ona godna jest pobbżania, ale raczej ci, którzy z pobbżaniem na nią patrzą.

Mówi się ciągle o kaprysach mody i tem uzasadnia się ów wżgardliwy uśmiech, z jakim się ją traktuje. Lecz czyżby tylko z kaprysu miała się zrodzić moda? Ów okrzyczany kaprys, który, jakoby miał być jedynym sensem i właściwą jej istotą, musiałby być chyba jakąś niesłychaną potęgą, ażeby wywołać zjawisko takich rozmiarów!

Spójrzmy wstecz. Po miękkich, powłóczystych, pełnych niewymuszonego wdzięku, ubiorach greckich i rzymskich, wślad za Aspazją i Agrypiną, — ujrzymy nagle ciężkie, sztywne, skamieniałe jakby postacie bizantyńskich cesarzowych. A potem zjawi się jasnowłosa Izolda, w swej szacie wstydlivej i skromnej, zakrywającej po szyję grzeszne ciało. A potem — zaszleszczą przed nami ciężkie brokaty rozłożystych spódnic XVI wieku. Kobiety suną po ziemi majestacyjnie, jak posągi na szerokich podstawach. W niespełna sto pięćdziesiąt lat później figuryнки z porcelany tańczą frywolne menuety, wystukując krok tańeczny wygiętym obcasikiem i kołysząc w takt wysoką na metr peruką. To nie tak dawno jeszcze — niespełna 150 lat temu. A po tych 150 latach, w sukienkach po kolana wskakują do tramwaju zwinne istoty, których średnica przeciętna wynosi 60 cm. Gdyby mieszkańcy Marsa rejestrowali te przemiany, musieliby chyba dojść do przekonania, że rodzaj stworzeń, zamieszkujących ziemię, zmienia się całkowicie co jakiś czas, przyczem przemiana ta jest tak gruntowna, że żaden egzemplarz poprzedniego gatunku nie zanieczyszcza atmosfery późniejszych pokoleń.

Czyżby tą niesłychaną przemianą kierować miał tylko kaprys?

Ludzie wynajdują sobie od czasu do czasu słowa, które nie są niczem innym, jak nagłówkami zagadek. Ów kaprys mieści w sobie jedną z największych zagadek ludzkości.

Trzeba, bowiem, zrozumieć, co kryje się w samem pojęciu mody. Trzeba zrozumieć, że moda jest nietylko twórcą kroju sukni i jej ozdób:—moda tworzy właściwie całą zewnątrzną stronę człowieka, tworzy to, czem on jest dla oka drugiego człowieka. Od mody zależy jego sylweta, linja jego ruchu, sposób

jego trzymania się, chodzenia, siedzenia itd. Nie jest to, bynajmniej, przecenianie znaczenia mody, i nikt tak gruntownie, jak my, nie miał sposobności poznania jej czarodziejskiej zdolności przekształcania. Na naszych wszakże oczach zmieniała się kobieta nie do poznania. Zmieniała się wprost forma jej ciała, sposób jej trzymania się i chodzenia. Ba, więcej nawet: wciągu ostatnich lat kilkunastu zniknęły z powierzchni Europy niezliczone ilości kilogramów tłuszczu. Kto to zrobił? Czy może Wielka Wojna? Zaprawdę, nie! Zrobiła to moda. Przysstrugała sobie figury kobiece według swego widzimisie, unormowała ich wagę, a nawet ich wiek. Wszystkie, bowiem, pod jej nakazem mają, względnie mieć muszą, lat 18. Niewolno zatem nie doceniać mody. Jest to twórca wielkiej miary, tworzy nietylko suknie: tworzy człowieka, to, co Francuzi zwa „apparition“.

Ze mody, tak pojętej, nie można wytłumaczyć jednym słowem — kaprys, lub obłęd — to chyba jasne. Przyczyny, które kierują tą twórczością, tkwić muszą znacznie głębiej.

Istnieje jeszcze inna hipoteza, która mieni się poważną i niemal naukową. Wygłaszają ją zwykle ludzie o usposobieniu purytańskim. Hipoteza ta powiada: moda jest tylko wynaturzeniem naturalnego zjawiska. Zjawiskiem naturalnem jest to, że człowiek, żyjący pod pewną szerokością geograficzną, w pewnym klimacie, musi się ubierać, by uchronić się przed zimnem. Istotnem podłożem mody byłby więc tylko fakt zależności od warunków przyrody, i tylko te warunki zewnątrzne normowałyby zasadnicze przemiany ubioru. Z tą hipotezą łączy się zresztą zwykle i druga: wpływ stosunków ekonomicznych. O ile warunki przyrody stwarzają pewne podłoże zasadnicze, o tyle ekonomiczny stan społeczeństwa i związane z nim formy jego życia stanowiłyby siłę motoryczną przemian w dziedzinie ubioru. W ten sposób tłumaczyłoby się, że warstwy zamożne ubierają się inaczej i częściej zmieniają formę swych strojów, aniżeli warstwy ubogie. Dochodziłby tu zresztą jeszcze wpływ wytwórców, w których interesie leżałoby częste zmiany mody i wszelkie jej ekstrawagancje.

Na poparcie tego sposobu patrzenia przytoczyć można zresztą ciekawy fakt: oto wykopano w Danji grób z okresu brązowego, a więc na kilka tysięcy lat przed naszą erą. W grobie tym, dzięki niezwykłym warunkom, zachowała się spódnica, kaftan, czapka, ba! nawet szalik na szyję. I, o dziwo! ten prosty ubiór jest niemal identyczny z tym, jakiego do dziś dnia używają chociażby nasze chłopki.

Czyż trzeba bardziej przekonującego dowodu, jak ten, że wciągu lat tysięcy, w tych samych warunkach klimatycznych, pozostały bez zmiany formy ubioru — oczywiście, wśród warstwy pracującej? Temu przykładowi można jednak przeciwstawić inny, historycznie równie wierny: że w XVI wieku, w najgorętszym kraju Europy, w Hiszpanji, zrodziła się mo-

da sukien najcięższych i najbardziej hermetycznie otulających ciało człowieka. I mimo swego bijącego w oczy nieprzystosowania do warunków — pod każdym zresztą względem — ta właśnie moda zwyciężyła Europę.

Oczywiście, że owa przyrodniczo-materjalistyczna teoria ma swoje racje i nie może być mowy o wykluczeniu tych wpływów. Czyż mogą nam one jednakże wyjaśnić chociażby fakt, że w tychże samych warunkach klimatycznych, w tej samej warstwie społecznej, przy analogicznym zupełnie ukształtowaniu się spraw wytwórczości, ba! nawet przy tej samej ilości zużytych metrów jedwabiu — powstają jednak ubiory tak bardzo różne w swoim charakterze? Że jedne będą ciężkie, majestatyczne, utrzymane w ciemnym kolorycie, inne zaś — lekkie, jasne, nie majestatyczne, a raczej zalotne. Czyż między warunkami, w których żyła pani de Maintenon, kochanka Ludwika XIV, a okresem pani Dubarry, damy serca Ludwika XV, zachodzą tak daleko idące różnice? Warunki ekonomiczne zmieniły się minimalnie, a jednak, gdybyśmy ujrzeli dzisiaj zjawy tych dwóch dam, przedstawiałyby każda z nich typ zupełnie odrębny, odpowiadający dwóm różnym ideałom kobiety, jakgdyby każdą z nich wystylizował inny artysta. Gdy pierwszą w charakterze swojej postaci jest majestatyczna, druga jest frywolna; gdy pierwsza jest dojrzała, druga jest zaledwie rozkwitająca; gdy pierwszą z nich otulają miękkie fałdy ciężkiego jedwabiu, druga — ujęta w wystylizowane ramy sztywnej krynoliny, utrzymana w kolorycie pastelowym, — ma w sobie raczej coś z astralnej zjawy, dalekiej od królewsko-poważnej postaci metresy „króla-słońca“.

*Dr. Stefanja Zahorska.*

(d. c. n.)

## KTO POWINIEN PŁACIĆ?

Dzienniki amerykańskie ogłosiły w tych czasach ankietę na temat, który, przy dzisiejszym rozwoju nowych form towarzyskich wszędzie byłby na czasie, mianowicie: czy mężczyzna powinien płacić za kobietę rachunki w restauracji, cukierni, na wycieczce, bilety do kina, lub teatru, — czy też należy zachować metodę „Dutch reat“ — każde za siebie?

Rezultat odpowiedzi, nadeszłych dotychczas, nie pozostawia żadnych wątpliwości — w Nowym Jorku i w Filadelfji, w Waszyngtonie i Chicago, zarówno jak i w każdym miasteczku Stanów — ogromna ilość kobiet odpowiedziała zgodnie: „płacić macie... wy!“

„Mężczyźni zarabiają więcej od nas“ — piszą z różnych stron urzędniczki, panny sklepowe, nauczycielki, rzemieślniczki: „my zaś mamy i tak zawsze większe wydatki na każdy wieczór — pójdzie do teatru lub wycieczkę. Fryzjer, pończochy, sukienka wieczorowa o ileż więcej kosztują, niż bilet wejścia, auto, lub porcja lodów! A pozatem to płacenie przez ko-

bietę własnego rachunku usunęłoby całą poezję, cały urok wzajemnego obcowania. Byłoby w najwyższym stopniu nierycerskie ze strony mężczyzny!“

A więc bardzo samodzielne, i postępowe, i dążące do zupełnego równouprawnienia amerykanki okazały się w tym wypadku zupełnie konserwatywne, a to zarówno na materjalnem, jak i na średniowieczno-romantycznym podłożu!

Ciekawe byłoby, jaki rezultat wydałaby u nas podobna ankieta?

Osobiście uważam, że wartoby tę sprawę przedyskutować.

Zapewne istnieje w Polsce bardzo jeszcze wiele rodzin, zachowujących dawny obyczaj towarzyski, podług którego młode panny nie bywają same i nie spotykają się z młodymi ludźmi inaczej, niż na wizycie lub na balu, pod opieką matek. Ale — powiedzmy sobie szczerze — jest ich coraz mniej. Tryb współczesnego życia, brak mieszkań, praca zarobkowa dziewcząt od wczesnych lat młodości, studja uniwersyteckie, — wszystko to stworzyło i upowszechniło zupełnie inny rodzaj życia towarzyskiego, o charakterze zewnętrzny; w stolicy zwłaszcza i w większych miastach młodzież obojej płci bawi się bardzo rzadko w domu, a przeważnie na wycieczkach, spacerach, w kinach, cukierni, teatrze, klubach, stowarzyszeniach i t. p. środowiskach, wymagających zawsze pewnych kosztów.

Kto ma je ponosić?

Trudno — muszę powiedzieć szczerze — stać po stronie mężczyzn. — Będę bronić ich interesów.

Wiem, że spotka mię zato krytyka obustronna: — kobiety będą mogły słusznie oburzyć się na moje przeciwko nim stanowisko: mężczyźni zaś zaprotestuują w imię tradycji, galanterji, no i, powiedzmy — fałszywej dumy. Z którymkolwiek z nich bowiem zacząć mówić o tej kwestji, każdy oburza się strasznie. — Co?! Kobieta miałaby w mojej obecności płacić za siebie? — niemożliwe!

Inna sprawa, ile razy to stanowisko wpływa z owej właśnie fałszywej dumy. Ile razy mężczyzna — nie chcąc nawet sam przed sobą tego przyznać, czuje, jak cięży, jak uniemożliwia mu nieraz życie ten obyczaj!

Powstał on w epoce rycerskiej, kiedy ludzie biedni nie mieli żadnych t. zw. towarzyskich wydatków, a ludzie bogaci mieli możność pozwalania sobie na zbytki.

I ten właśnie luksus składali galanci u stóp pięknych pań. Na dworze Ludwika XIV np., gdy któraś z dam udała się na kurację do Vichy, jeden z jej wielbicieli ofiarował jej wspaniałą karetę i posłał wszystkie swoje konie, aby zmieniano je na każdej stacji pocztowej. Nic łatwiejszego: — miał to wszystko.

Z drugiej jednak strony, kobiety, lub ich rodziny rewanżowały się także — przyjmując w domach, zapraszając na polowania, do rezydencyj letnich i t. p.

I zwyczaj ten pozostał aż do czasów przedwojennych — był nawet bardzo dla młodych np. niezornych ludzi korzystnym: — przyjmowano ich w domach „familijnych“, a oni rewanżowali się — w bardzo zresztą skromnych granicach — w myśl bowiem przepisów ówczesnego *savoir-vivre'u*—młody człowiek nie będący narzeczonym lub krewnym, mógł najwyżej ofiarować przy jakiejś okazji kwiaty pani domu lub pannom. Czasy powojenne zmieniły to wszystko do gruntu — przerzucając odrazu większość kosztów życia towarzyskiego na mężczyznę.

A kosztów tych jest obecnie bardzo wiele. Stopy życia wzrosła niepomierne. Narzekamy ciągle na ciężkie czasy, zbyt niskie wynagrodzenie, a czy pomyśleliśmy, jaka jest szalona różnica wymagań obecnych? Czy kobiety średnio zamożne nosiły dawniej naczynie jedwabne pończochy i sukienki, mężczyźni—lakierki, jedwabną bieliznę, wytworne palta? Czy spędzaliśmy tyle czasu codziennie w cukierniach, kinach, dancingach?

Nietyle na życie; mieszkanie i codzienne potrzeby brakuje nam obecnie, ile właśnie na te nowoczesne wydatki, które jednak stały się tak powszechne, że tylko bardzo niewielu ludzi potrafi się od nich powstrzymać. Nie mówiąc już o tem, że istnieje cała serja kosztów, od których nie należy się powstrzymywać, a które też dawniej nie były u nas w budżecie, jak np. koszty sportów, wycieczek, składek w stowarzyszeniach, i t. p., i t. p.

I naraz, na tle tego już i tak wyciągniętego budżetu, spada na młodego człowieka obowiązek ponoszenia większości kosztów podwójnie!

Zobaczmy, jak to wygląda w praktyce.

Młody człowiek spotyka znajomą, koleżankę z uczelni, czy biura; rozmawiają, wstępują do cukierni: — czarna kawa, jakieś ciasteczka... minimum 3 złote—o ile gra tam muzyka—30 proc. więcej. Dwa bilety do teatru lub na koncert 10—15. Pojadą do któregoś z parków, tramwaj — najskromniej 80 groszy — nie daj Boże auto! — 2—3 złote. A przecież to jest ciągle, gdyż—nie mając mieszkań, żyjemy, doprawdy, na ulicy — ani się kto obejrzy, jak te drobne sumki wyniosą mu po 5, 8 do 10 zł. dziennie!

Mężczyzna, który mógłby może bez uszczerbku wydać 100 zł. miesięcznie — nie może jednak wstawić do swego budżetu 200 lub 300 zł.

Jest to nieraz formalną katastrofą. Młodzi ludzie zapracowują się, studenci biorą posady, lub niemożliwą ilość lekcyj, zaniedbują studia, lub nie mogą zupełnie utrzymywać stosunków towarzyskich. Znam młodego człowieka, który od wczesnej wiosny do późnej jesieni goli głowę, aby... nie móc się pokazać w towarzystwie i zmusić siebie do powstrzymania się tym sposobem od wydatków!

Zapewne, powiedziećby można, że lepiej ponosić podwójne wydatki na płacenie za kobietę, niż grać w karty, lub na wycieczkach. Tak, ale tamto to

są „rzeczy złe i zdrożne“, na które każdy człowiek uczciwy powinien reagować wolą własną, wpływem na drugich i t. p., — ale życie towarzyskie, wspólna rozrywka, spacer, teatr, cukiernia—to są przecież rzeczy normalne—jakżeż ich zabraniać?!

Zatrzymałam się bardzo długo na tej materialnej stronie kwestji, gdyż — smutne to może, ale nie mniej prawdziwe—że czynniki ekonomiczne muszą mieć głos poważny w naszym życiu. A przytem przytaczano już tyle razy, aż do znudzenia, argumenty, że kobieta samodzielna, zarabiająca na siebie, nie powinna pozwalać mężczyźnie ponosić za siebie kosztów,—że wszyscy umieją to napamięć.

Pozostaje jeszcze ów argument amerykanek: — ten взгляд nie wyłącznie konwenansu, ale głębszego sentymentu rycerskiego.

Otóż jest on też, mojem zdaniem, zupełnie fałszywie zrozumiany. „Poezja i urok obcowania wzajemnego“ nie mają nic do czynienia z pieniędzmi. Było tak może wtedy, gdy kobiety miały światopogląd... troszkę, no—powiedzmy—dziecinny—gdy, jak to pisze, zdaje się, Lam w jednej ze swych powieści: młody człowiek podbił serce panny, przywożąc jej pudło cukrów—gdzie były—jak o tem później mówiło całe miasto — „same różowe pomadki“!

Dziś nie zaimponują nam chyba takie rzeczy i nie mogą wpłynąć na miłość, lub sympatję!

Pomimo wszystkich gromów, rzucanych tylokrotnie na młode pokolenie, musimy stwierdzić, że istnieje w niem daleko większa szczerłość wzajemnych stosunków. Widzimy wiele razy przykłady serdecznej przyjaźni, sympatji koleżeńskiej między młodymi ludźmi, bez żadnej nawet domieszki flirtu. Inny, szczerzy, mniej konwenansowy jest też stosunek narzeczonych, pracujących często wspólnie w oczekiwaniu—długiem nieraz—na możliwość połączenia się, zdobycia dostatecznego bytu, lub... mieszkania.

Czyż w tych wszystkich warunkach może być racjonalne, aby mężczyzna ze względów starodawnej „galanterji“ ponosił sam wszystkie wydatki wspólnej rozrywki?

Jeżeli znajomość jest czysto konwencjonalna — niech każdy płaci za siebie; jeżeli zaś jest naprawdę bliższym stosunkiem koleżeńskim, czy dwojga narzeczonych—wtedy może zapłacić albo jedna, albo druga strona. Tak, jak to jest w użyciu, gdy pójdą na kawę, czy do teatru dwie przyjaciółki, lub dwaj koledzy.

Jest to jedyne wyjście dla samodzielności i równości kobiety; niema, bowiem, żadnej racji, aby, będąc równouprawnioną politycznie i społecznie, nie była nią — towarzysko.

Takie postawienie sprawy nie usunie wcale „sentymentu rycerskiego“, który, jak wszystko, musi ulec przewartościowaniu i nie może polegać na... zapłaceniu za wypitą czekoladę. A wzmocni szczerłość wzajemnych stosunków i ułatwi obu stronom życie. N. J.

## COŚNIECÓŚ O NARCIARSTWIE

POCZĄTKI JAZDY. JAK PADAĆ, JAK WSTA-  
WAĆ. CHODZENIE. ZMIANA KIERUNKU, MARSZ  
POD GÓRĘ. ZAKOSY, SCHODKOWANIE.

### II

Teraz, skoro już wszystko wiemy o sprzęcie narciarskim, przejdziemy do samej jazdy, i tu zacząć — prawdopodobnie ku ogólnemu zdziwieniu—od upadku i podnoszenia się. Chociaż powinniśmy starać się jaknajmniej padać, nie sposób tego uniknąć, i umiejętność padania bez zrobienia sobie krzywdy, i podnoszenia się następnie jest bardzo ważna i musimy ją zdobyć możliwie prędko. Jak więc to czynić? — Przedewszystkiem radzę nie padać nigdy ani wprzód, ani wtył, a zawsze starać się raczej usiąść obok nart: jest to daleko wygodniejsze przy wstawaniu, a przytem śnieg jest miękniejszy, niż deski, sterczące na metr przed nami i tyleż ztyłu. A więc, skoro mieliśmy już nieszczęście przewrócić się, musimy najpierw dążyć do tego, aby narty nasze przybrały kierunek równoległy, mając oba dzioby zwrócone w jedną stronę. Często jest to dość trudne i wtedy najlepiej jest wywrócić się na plecy, unosząc nogi w górę: wówczas narty są zwykle tak miłe, że przybierają pożądaną równoległą kierunek, i wtedy opuszczamy wolno nogi, aby się deski znów nie skrzyżowały. Skoro mamy narty ustawione, jak należy, składamy kijki razem i, podpierając się ze strony przeciwnej, niż są narty, wstawiamy. Skoro już stoimy, bierzemy kijki w obie ręce, i jazda! aż do nowego wywrócenia, gdzie znów wszystko powtarzamy od początku.

Gdy narty i nogi tak się poplątały, że nie możemy dać sobie rady, np. narta wbiła się w śnieg, wtedy musimy narty odpiąć i ustawivszy równoległe, (radzę w kierunku jazdy), nakładamy je znów. Zdejmowania nart należy jednak unikać, bo wówczas



Zwrot wstecz nogą górną. Nie tracimy na wysokości

musimy stanąć na śniegu, co zwykle powoduje zapadnięcie się; jeśli więc tylko można, zostawiamy przypiętą choćby jedną nartę. Podnosimy się w ten sposób na równym; jeśli upadek nastąpił na stoku, musimy ustawić narty od strony dolnej, prostopadle do spadku, jeśli bowiem dzioby będą skierowane w dół, nie zdążymy jeszcze stanąć pewnie na nogach, gdy już zjedziemy, co zwykle powoduje upadek, i to przeważnie przykrzejszy od poprzedniego. Kijkami opieramy się, oczywiście od strony stoku.

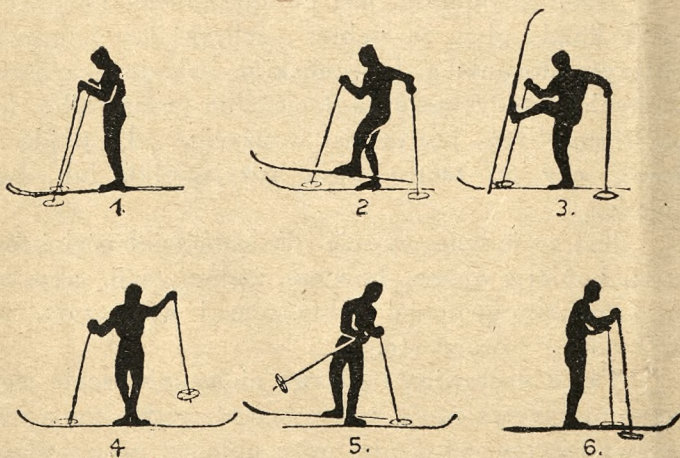
Z tego, co napisałam, widzimy, że dobrze jest umieć szybko zdjąć i nałożyć narty; radzę więc jeszcze przed wyruszeniem, w domu nauczyć się manipulowania z uprzężą.

Następną zdobywaną umiejętnością będzie chód. Tu, jak zresztą zawsze, nogę w kostce należy mieć sztywną, unikając zginania jej na boki, co wygląda nieestetycznie i utrudnia znacznie kierowanie nartami. A więc chód bywa rozmaity: przemienny, innochód, dwu—i trójkrok. Najczęściej stosowanym jest chód przemienny: wysuwamy lewą nogę i jednocześnie wbijamy prawy kijek przy nosku narty prawej; następnie zostaje wysunięta prawa noga i lewa ręka itd; ruchy te są, jak przy zwykłym chodzeniu i bieganiu.

Innochód polega na jednostronnym ruchu prawą nogą i prawą ręką, jest więc o wiele trudniejszy do opanowania, przeto stosowany tylko przez wytrawnych narciarzy.

Dwu i trójkrok jest najszybszym sposobem posuwania się po płaskim terenie, a polega na tem, że dwoma, czy też trzema krokami nabieramy rozpędu, odpychając się następnie silnie kijkami, wbitemi w międzyczasie możliwie blisko nart i możliwie jaknajwięcej ku przodowi. Przy posuwaniu się po płaskim, mamy wybitną współpracę rąk i nóg.

Pamiętać trzeba, aby kijki były wbijane możliwie blisko nart, jednak nie za blisko, aby nie zaczepiać o nie więźbami.



Zwrot wstecz

Kolana są cały czas lekko ugięte; uginamy je silniej w momencie odpychania się kijkami, podając jednocześnie tułów ku przodowi.

Jeśli warunki terenowe nie pozwalają nam na zrobienie zwrotu, lub musimy się cofnąć nieznacznie, stosujemy chód wstecz, który polega na tem, iż unosimy tył narty lekko ku górze i dopiero wtedy ją cofamy. Gdybyśmy tego nie zrobili, narta, cofana, wbiłaby się w śnieg, a wydostawanie jej stamtąd nie jest zbyt miłe.

Umiemy już posuwać się naprzód; ale droga nie zawsze jest prosta i często kręci; jak więc zmieniać kierunek? Jeśli zakręt jest niewielki, poprostu drepczemy na miejscu, stopniowo zmieniając kierunek przodu narty wewnętrznej i dostawiając do niej zewnętrzną. Czyniąc tak kilkakrotnie, można nawet znacznie skrócić, ale np. przy zwrocie wstecz byłoby to zbyt uciążliwe. Znamy więc, oczywiście, sposób szybszy, chociaż trudniejszy do opanowania. Ale, trudna rada: musimy się nauczyć karkołomnej sztuki robienia wtył zwrot. Stajemy więc w pozycji zasadniczej, to jest narty razem, kijki wbite przy więźbach. Zwrot możemy robić w prawo, bądź też wlewo, zależy to od tego, którą nogą zaczynamy.

Umówmy się, że robimy wprawo — a więc prawy kijek unosimy do góry, lub wbijamy tyłem za lewą nartę, oczywiście, nie puszczając go; następnie silnym zamachem unosimy nartę prawą tak, aby jej tył znalazł się przy dziobie narty lewej i, skracając nogę o 180°, opuszczamy nartę w dół, na skutek czego narty są znów równoległe, ale nosek jednej jest obok tyłu drugiej. Następnie bez trudu już dostawiamy nartę lewą i zwrot zrobiony.

Na płaskim jest obojętne, którą nogą zaczynamy zwrot, na stoku lepiej jest robić nogą górną, gdyż wtedy nie tracimy na wysokości. Przy zwrocie kijki są nam bardzo przydatne do utrzymania równowagi; należy tylko nauczyć się manipulować nimi tak, aby naprawdę pomagały, a nie przeszkadzały, płacząc się między nartami.

Przy marszu pod górę rzadko kiedy posuwamy się wprost, chyba że spadek jest bardzo nieznaczny,



Krok rozkroczny



Schodkowanie zakosem

lub śnieg lepki, tak, że narty się nie cofają; zwykle wchodzimy zakosami, a przy tem dobre opanowanie zwrotów jest niezbędne.

Zakosy radzę robić możliwie najdłuższe, gdyż zwroty są męczące i sporo czasu zabierają, nawet przy najlepszym ich opanowaniu. Musimy się starać wejść na górę możliwie najmniejszą ilością zakosów. Przy posuwaniu się na nartach, ciągniemy deski po śniegu, unikając męczącego podnoszenia nart do góry; musimy to stosować przy zakosie, oraz na szreni, to znaczy, gdy śnieg ma na wierzchu zlodowaciałą skorupę, po której narty się obsuwają. Jeśli zbrocze, po którym wchodzimy, jest za strome, aby wchodzić wprost, a za wąskie, aby iść zakosami,—używamy kroku rozkrocznego, albo tak zwanej choinki, czy też drzewka. Przedstawia to wprawdzie niezbyt estetyczny widok dla patrzącego i jest sposobem dosyć męczącym, jednak czasem niezbędnym, więc musimy go również umieć. Idąc tym krokiem, rozstawiamy dzioby nart możliwie szeroko i zacinamy wewnętrznymi krawędziami, uważając, aby tyły się nie skrzyżowały, gdyż spowodowałyby to upadek. Kijkami podpieramy się w tyle. Jeśli nawet przy możliwie najszerszym rozstawieniu dziobów, narty ześlizgują się do tyłu, stosujemy tak zwane schodkowanie, którego często używamy na szreni, gdy narty trzeba mocno stawiać zgóry. Posuwamy się wówczas zakosem, schodkując jednocześnie. Schodkowanie wygląda tak, jakgdybyśmy szli po schodach bokiem. A więc — najpierw odstawiamy możliwie wysoko górny kijek, stawiamy tuż przy nim górną nartę, dostawiamy nartę dolną i wbijamy mocno dolny kijek tuż przy niej. Przy schodkowaniu wybitnie pomagają kijki, na których mocno się opieramy. Należy więc pamiętać, aby były zawsze pewnie wbite w śnieg. Nartami oczywiście, mocno zacinamy i to górnymi krawędziami.

(d. c. n.)

L. R.



## „VICI“

„Zwyciężyłem!”—mówi dumnie, jeżeli nie sam—z natury rzeczy niemy—aparat, to jego wynalazca. Nie śniem dzisiaj przesądzać o tem, czy to jest ostateczne zwycięstwo, i czy czasem nie przyjdą bardziej udoskonalone przyrządy do gotowania na gazie,—na dzisiaj jednak aparacik, który zupełnie wypadkowo trafił do rąk moich, jest najlepszym kombinowanym przyrządem, jaki dotąd widziałam.

Szczęśliwe nasze matki, babki i prababki rozporządzały w swem gospodarstwie, przechodząc z pokolenia na pokolenie, kutemi garami, garnkami i garnczkami miedzianymi. Od czasu do czasu trzeba to było pobielić cyną, codziennie wyszorować cegłą, ale o ciągłym kupowaniu naczyń nikt nie myślał: były one tak trwałe, że nieraz kilka pokoleń ich używało. Do tych wielkich, ciężkich naczyń były dostosowane blachy do drzewa i węgla; opału nie potrzebował nikt oszczędzać, czasu też nikt nie żałował; w każdym domu były swoje własne tajemnice przyrządzania specjałów, sekrety, przekazywane z matki na córkę—i szło to tak przez wieki nieomal. Lecz przyszła wielka wojna, po niej rewolucja rosyjska, i warunki egzystencji dla tysięcy rodzin radykalnie się zmieniły.

Opał stał się tak drogi, że nie można się nie liczyć z jego zużyciem; nie mamy licznej służby do podnoszenia i przenoszenia ogromnych saganów z jedzeniem; potrawy i ich ilość też się zmniejszyły; w wielu, bardzo wielu domach same panie gotują posiłki. W miastach dużych—gaz, na prowincji—maszynki naftowe zastąpiły blachy do węgla i drzewa.

Jestem przekonaną zwolenniczką gotowania na gazie, — oczywiście tam, gdzie go mieć można, to jest w dużych miastach, posiadających gazownie.

Chcąc jednak użytkować gaz ekonomicznie, musimy się zaopatrzyć w odpowiednie przyrządy do gotowania, gdyż kuchenki oszczędnościowe mają najwyżej dwie fajerki, a blachy większe są dosyć kosztowne. Już dawniej na łamach „Bluszczu“ pisałam o rondlach trzy i cztero-piętrowych do gotowania wieżowego, o doskonałym aparacie „Prodige“ do pieczenia ciast i mięs bez piecyka,—przyrząd, o którym dzisiaj będę pisała, jest udoskonaleniem jednego i drugiego.

Jestem strasznie uprzedzona co do nowych aparatów, nie dowierzam im wcale: przynoszą mi ich mnóstwo, i to przeważnie takich absolutnie do niczego, że przestałam się nimi interesować. To też — a były to jakoś w końcu maja, — gdy pewien kolega-dziennikarz zatelefonował do mnie z propozycją obejrzenia i wypróbowania aparatu, którego jego znajomy, czy przyjaciel jest wynalazcą, zastępcą czy przedstawicielem,—przyjęłam tę wiadomość godnie i chłodno. Jeszcze mniej uprzejmą byłam z panem, który jest właśnie tym wzmiankowanym przyjacielem,—wszelkie próby odłożyłam do jesieni, czego niezmiernie dzisiaj

żałuję, bo gdybym się przyrządem zajęła od wiosny, zaoszczędziłabym przez letnie miesiące dużo czasu, opału i pieniędzy. Jakoś we wrześniu przyniesiono mi aparat; postawiłam go w składziku, i stałby tam jeszcze długo gdyby nie to, że raz, spostrzegłszy go, poczułam wyrzuty sumienia: — przecież oddawna już go należało wypróbować i dać jakakolwiek, bodaj chociaż najmniej pomyślną odpowiedź.

Był to dzień postny, deszcz padał i nie chciałam wychodzić sama, a kupna ryby nigdy nie powierzam służącej, musiałam więc wykombinować obiad jarski. Ugotowałyśmy więc zupełną grzybową z jarzynkami, do niej paszteciki, na które miałyśmy ugotowane w zupie grzybki, a foremki z kruchego ciasta miałyśmy już upieczone; kalafjory z masłem i bułeczką, ryżową leguminę zapiekana i kompot ze śliwek. Jednocześnie zagotował się imbryk wody do zmywania naczyń. Wszystko wykonałyśmy na jednej fajerce gazowej w godzinę i dwadzieścia minut. Aby wytłumaczyć Czytelniczkom „Bluszczu“, jak to zrobiłyśmy, postaram się dokładnie opisać konstrukcję aparatu.

Składa się on z trzech rondli różnych wysokości, lecz o jednakowo szerokiem dnie, szczelnie przykrywających jeden drugi, i z płaskiego czajnika, również doskonale do nich dopasowanego. Piąty ogromny rondel służy za przykrycie tych czterech naczyń; dzięki niemu cała para, wychodząca z rondli przy gotowaniu, nie ulatnia się i temperatura staje się tak wysoka, że wszystkie cztery naczynia jednocześnie się gotują. W konstrukcji więc początkowej aparat „Vici“ przypomina rondle do wieżowego gotowania; w użyciu jednak od nich się różni, gdyż tam górne rondle tylko przygrzewają, więc potrawy w nich tylko dochożdzą i należy je wprawdzie zagotować na ogniu,—w aparacie „Vici“ można na wszystkich piętrach wstawić produkty w zimnej wodzie, a same się zagotują. Wyjątek stanowią, naturalnie, mięso, lub ryba, o ile mają wprawdzie być zrumienione. Aby zbierająca się para nie spowodowała wybuchu, aparat jest zaopatrzony w rurkę odprowadzającą, przez którą para skroplona już, odpływa wolno w podstawiony spodek, lub filizankę.

Oprócz tych rondli, z których największy, ten, co służy za pokrycie małych (wrazie potrzeby może też być użyty do gotowania naprzykład dużej szynki całej, dużej ilości barszczu, lub rosółu i t. p.) „Vici“ posiada przyrząd do pieczenia. Składa się on z żeliwnej płytki, którą się kładzie bezpośrednio na płomień gazu, na to drugą płytkę azbestową, a na tą formę z ciastem, budyniem, sufletem, lub potrawą, która ma być zapieczona. Pokrywa się to tym samym ogromnym rondlem, służącym za pokrycie do mniejszych.

O ile przy gotowaniu ten prowizoryczny akumulator ciepła wywołuje wrzenie wszystkich czterech pięter rondli, o tyle przy pieczeniu temperatura jest tak wysoka, że w 25 — 30 minut ciasto ma śliczną, rumianą skórę po bokach; jeśli wierzch sam nie jest równie ładny przykrywa się formę na minut parę roz-

paloną na gazie żeliwną płytką, a wkrótce się zarumieni. Ponieważ wszystko się gotuje i dusi na parze, nie grozi daniom ani wykipienie, ani przypalenie, — dwie, kardynalne wady gotowania nieuważnych służących. Gdy wszystko zawrze, dosyć zmniejszyć płomień palnika do minimum i można cały aparat pozostawić swemu losowi: wszystkie potrawy będą dochodziły, a służąca, czy pani mogą na jakąś dobrą godzinkę oddać się innym zajęciom. Gdy obiad, śniadanie, czy kolacja już gotowa, co należy, oczywiście, sprawdzić, można rondel-pokrywą znowu położyć na aparat, a ogień zgasić zupełnie. Tak przykryte potrawy przez godzinę przynajmniej, a nawet i dłużej, pozostaną gorące.

Oprócz pieczenia i gotowania różnych potraw, można na „Vici“ sterylizować kompoty, jarzyny i różne potrawy, jak w Wecku, oczywiście mniejsze ilości słoje jednocześnie. Sama tej ostatniej operacji nie próbowałam, — piszę więc o niej, że tak powiem, na wiarę—ponieważ jednak wszystkie inne prace, zapowiedziane w reklamie, aparacik wykonywa bez zarzutu, nie mam powodu przypuszczać a priori, że ta właśnie jedyna, niewypróbowana, ma się koniecznie nie udać.

Ponieważ „Vici“ jest przeznaczony nietylko do użytku gotowania na gazie, lecz również dobrze może być stosowany do primusa, może on oddać olbrzymie usługi rodzinom, nieposiadającym kuchni, mieszkającym na prowincji, wyjeżdżającym na letniska i t. p. Szczególniej zaś kobietom z inteligencji, nie posiadającym stałej służącej, a nie mogącym całymi godzinami wystawać w kuchni, przy blasze. Po pewnym obyciu się z przyrządem, wystarczy pozostawić go na małym płomieniu, aby samej móc się zająć dziećmi, lub inną pracą domową.

Natychmiast po wypróbowaniu „Vici“ demonstrowałam go w Kole Studjów Gospodarstwa Domowego, gdzie między najlepszymi gospodyniami wzbudził ogromne zainteresowanie i chęć dokładnego wypróbowania.

Pani Elżbieta

## PODZIĘKOWANIE

Krzemieniec, 15 lipca 1927 r.

Do Szanownej firmy

**M. FREILICH, LWÓW,**  
Gródecka 35

Poczuwam się do głębokiego obowiązku moralnego podziękować Panu za uratowanie od niebezpieczeństwa śmierci mej 65-letniej matki, chorej kobiety, która ugięła się pod brzmieniem cierpienia z powodu przestarzałej przepukliny, trapiącej ją od 25 lat. Wszystkie bandaże, których dotąd używała, pogarszały jedynie stan jej zdrowia, tak, iż w ostatnich czasach wogóle nie mogła chodzić. Gdy się jednak zwróciliśmy do Szan. Firmy, a W.Pan szczęśliwą ręką dobrał jej odpowiedni bandaż, znikła przepuklina całkowicie. Obecnie matka moja czuje się krzepką, jak przed laty 25, i odzyskałam w niej zdrową matkę i gospodynię. Widzę teraz i jestem głęboko przekonany, że wszystkie wysokie odznaczenia i medale oraz dyplomy, które Szan. Panu przyznano, były całkowicie zasłużone. Dla nas było to prawdziwym cudem przywieść do Lwowa starą, schorzałą kobietę z zastarzałą przepukliną, a odwieźć zpowrotem rześką i zupełnie uzdrowioną matkę. Ja ze swej strony mogę tylko najgoręcej doradzać cierpiącemu na przepuklinę zwrócić się do firmy M. FREILICH, gdzie można znaleźć zbawienną pomoc bez względu na wiek i płeć. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszej wdzięczności odemnie i mej matki. Z poważaniem Michał Chisdis, Krzemieniec, Dub. Rogatka 73.



### BULWA WŁOSKA OSMAŻANA

Wybrać równe, średniego rozmiaru bulwy, namoczyć na godzin parę w zimnej wodzie, aby były jędrne i dały się delikatnie oskrobać. Ugotować w osolonej wodzie z dodatkiem łyżki octu, uważając, aby nie rozgotować nadto, rozłożyć na sicie lub płótnie i dać zastygnąć zupełnie. Smalec lub fryturę rozgrzać, jak na pączki, bulwy utarzać w mące, potem w rozbitem jajku, na koniec w tartej bułeczce i natychmiast smażyć do zrumienienia, gdyż leżąc panjerowane, odmiękłyby i nie miały chrupiącej skórki; osączyć na bibule, ułożyć w ładną piramidkę na półmisku, pokrytym serwetą, i obłożyć cytryną, krajaną w ćwiartki. Można też do nich podać masło śmietankowe w kulkach lub plasterkach.

### KREM SZODONOWY

Trzydzieści deka cukru, z tego część w kawałkach, otrzeć o skórkę dwóch sporych cytryn, zagotować ze szklanką wody, dodać dwie i pół szklanki białego wina, (może być krajowe, owocowe) zagrząć, lecz nie gotować; pięć jaj całych (jesli nieduże, brać 6 jaj), ubić mocno, rozprowadzić ostudzonym płynem, złączyć z resztą ledwo letniego, postawić na brzegu blachy i ubijać mocno trzepaczką, aż się mocno zapieni; odstawić, gdyż łatwo może się zwarzyć. Dalej ubijać na lodzie, aż stygnąć zacznie. Tymczasem namoczyć w zimnej wodzie dziewięć listków żelatyny, rozpuścić ją w pół szklance wody gorącej, wlać do stygnącej piany, dodać kieliszek rumu lub araku i natychmiast przełożyć do wypłókaney i wysypanej cukrem formy. Gdy dobrze ostygnie (najlepiej po 5—6 godzinach), wyrzucić na półmisek i podać obłożony lekkimi biszkopcikami.

### KONFITURY CYTRYNOWE

W drugiej połowie zimy, gdy zapasy konfitur zaczynają się zmniejszać, wyborne konfitury, jak do herbaty, tak też do ubierania ciast i legumin—można usmażyć ze zwyczajnych cytryn. Wybiera się na to cytryny o grubej skórce, gotuje w dużym rondlu, aby było dużo wody, aż tak zmiękną, żeby je słomką przetknąć można było, kładzie do ostygnięcia pomiędzy dwie poduszki, aby, stygnąc, nie stwardniały. Zimne kraje się ostrym nożem na plastry, starannie odrzucając ziarenka, które dałyby gorycz. Na kilo cytryn należy ugotować syrop z kilo cukru i dwóch szklanek wody, zalać zimnym cytryny. Po dwudziestu czterech godzinach zlewa się syrop, dodaje do niego drugie kilo cukru, zagotowuje, wkłada cytryny i smaży bardzo wolno, aż się staną przezrocyste. Gdy gotowe, dodaje się na każde kilo konserw pół pastylki benzoesu, rozpuszczonej w łyżce gotowanej wody, nie smażyć już więcej. Ostudzone, przekłada się do suchego słoika i zawiązuje pergaminem.

KORRESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

**Pani J. K. Korszów.** Bardzo obszernie traktowane wywabianie plam z bielizny znajdzie Sz. Pani w zeszytce „Życia Praktycznego”: „Pranie, prasowanie”. O czyszczeniu plam z ubrania podaliśmy obszerny artykuł w numerze 44 „Bluszczu”. Co do usunięcia zjełczałego smaku z masła, to radziłabym nalać je świeżym mlekiem w kizance i wybijać, zmieniając często mleko, dopóki nie straci niemiłego smaku. Następnie płókać, jak świeżo zrobione masło. Smalec przesmażyć z kwaśnymi jabłkami, które mają własność wyciągania goryczy z tłuszczu; o ile smalec nie jest zbyt zepsuty, ten środek pomoże napewno.

**Panu M. L. Trembowla.** Niech Sz. Pan nabędzie zeszyt „Życia Praktycznego”: „Pieczywo domowe”. Wyślemy po otrzymaniu należności (1 zł. 80 gr.) przesłanej w znaczkach pocztowych wprost do Redakcji, Krak.-Przedmieście 99, lub wpłaconej na conto P. K. O. 13.555.

**Pani Z. D. Chorodystawice.** Futerał na noże niech Sz. Pani zrobi z grubej flaneli, albo: — pokrajając długie serwetki, objąć je wokoło tasiemką. Przez środek poprzyć prosty pas z tego samego materiału tak, aby w rozmieszczone odstępy wkładać można było noże, łyżki, widelce. Zwijać w kółko i wiązać za przyszyte w końcach tasiemki.

**Pani Janinie.** Wino owocowe, dobrze zrobione, nie powinno być mętne. Po przebyciu pierwszej fermentacji i ustaniu się wina, co następuje mniej więcej w dwa miesiące, zlać je ostrożnie do świeżej baryłki i postawić do powtórnego sklarowania, poczem ściągając do czysto wymytych i wysuszonych butelek. Zatkając nowymi, mocnymi korkami i ułożyć w piasku w piwnicy. Po paru tygodniach, wino ostatecznie się sklaruje i będzie jak łaźnia czyste. „Bluszcz” radzę Sz. Pani zaprenumerować, wypadnie taniej i korzystać będzie Pani z różnych ulg i udogodnień, jakie Towarzystwo nasze daje swoim prenumeratom.

**Pani K. L.** Do użytku potrzebnego Sz. Pani najładniejszą będzie makatka wykonana aplikacją a ciemno-zielonym suknie. Poszczególne motywy niech Sz. Pani wybierze z różnych wzorów podawanych niejednokrotnie w „Bluszczu” i ułoży z nich całość. Służyć możemy tylko wzorami, umieszczanymi w naszych pismach.

**Pani R. K. Lwów.** Zaraz po otrzymaniu listu Sz. Pani posłaliśmy dokładny opis sposobu robienia „Modnej story”, której wzór jest zresztą tak dokładny i wyraźny, że z powodzeniem robotę da się wykonać bez opisu.

**Pani Marji M.** Przedwczesną siwiznę usunąć można przez używanie odpowiednich środków wzmacniających, o ile organizm cały jest zdrow i przedwczesne siwienie nie jest dziedziczne.

**Pani B.** Skrzepu absolutnie masować nie można.

**Młodej mężatce.** 1) Przeciw odrastaniu skórek na paznogciach nie wyrabia się w Polsce odpowiednich środków; we Francji stosuje się z bardzo dobrym rezultatem krem, zawierający arsenik.

2) Zapobieganie powstawaniu kataru należy przez odpowiednie hartowanie się (przeczytać w „Kulturze Ciała” artykuł dr. Mozołowskiej o hartowaniu się).

3) Dobrze jest płókać nos roztworem kwasu borowego. (łyżeczka na szklankę wody).

4) Usunięcie skrzywienia na dużym palcu u nóg,—przeczytać w „Kulturze Ciała” artykuł o pielęgnacji nóg, dr. Mozołowskiej.

5) Usunięcie żyłaków,—przeczytać artykuł o żyłakach dr. Zaorskiego w „Kulturze Ciała”.

6) i 7) Anemję i kobiece choroby leczyć u lekarzy-specjalistów. Pierwszy list Sz. Pani widocznie zaginął na poczcie.

**Czytelniczce z Siedliszcza.** Na zapytanie o wypadaniu włosów nie możemy odpowiedzieć, gdyż brak nam szczegółów i prywatnego adresu Sz. Pani. Na listy bez adresu nie odpowiadamy.

**Niezapominajce.** Do czyszczenia zębów należy używać pasty (bez mydła); firmy krajowe są bardzo dobre.

**Pani Eugenji S. w Będzinie.** O leczeniu żyłaków proszę przeczytać artykuł d-ra Zaorskiego w „Kulturze Ciała”.

**Młodej Mamusi.** Pas po ciąży należy nosić kilka miesięcy. Stosować masaż bezpośrednio po porodzie jest przeciwwskazane.

**Gęsia skórka — Babci Ceni.** Gęsia skórka, (liszaj mieszkowaty) są to drobne guzki, występujące na zewnętrznej powierzchni rąk i nóg, nie zaraźliwe i nie dające przykrych objawów swędzenia i pieczenia, dla zdrowia zupełnie nieszkodliwe. Natomiast są bardzo nieestetyczne i nieprzyjemne w dotyku.

Leczenie: stosować należy częste kąpiele gorące z solami aromatycznymi; do kąpeli zamiast mydła stałego używać mydło płynne i spirt. saponatus calini, i szorować ostrą szczoteczką. Po kąpeli koniecznie natłuścić olejkami różanym (środek tańszy), lub kremem (środek droższy). Wrazie zadawnionych, lub uporczywych wypadków, — środki złuszczające. Leczenie środkami złuszczającymi należy prowadzić tylko pod kierownictwem lekarza. W ostatnich czasach światłolecznictwo daje doskonałe rezultaty.

„Pieczywo domowe“

UCZY, JAK PIEC W DOMU BUŁKI, CHLEB, CIASTO I CIASTKA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysłała Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”. Warszawa, Krak.-Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM

HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisu Dr. J. Świtalskiej

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretki na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziome i lilijowe. Nowość sezonu: Krem poziomek (udielikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnca) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.